



OLGA GROMYKO

WIEDŹMIĘ  
OPOWIEŚCI

PAPIER  WYKSIĘŻYC

O l g a G r o m y k o

### **P o m y ś l y i d o m y ś l y**

Z „*N o w a F a n t a s t y k a*” nr 8/2010

Wszędzie, gdzie tylko padał wzrok, skrzyło się na słońcu, lśniło zimnym białym światłem, błyskało kłującymi promykami zimowe królestwo śniegu i lodu. Na świerkowych gałęziach zastygła koronka z sopli. Śnieg stwardniał, a droga zmieniła się w prawdziwe lodowisko - raj dla dzieciaków i piekło dla jeźdźców.

W lesie jeszcze szło jakoś przejechać, trzymając się linii śniegu wzdłuż ścieżki, ale po dotarciu na otwartą przestrzeń stało się jasne, że ja i Smółka będziemy dziś jedynymi podróżnymi na trakcie. Droga gwałtownie opadała w dół, z góry, i gdybym teraz upuściła but, to bez żadnych przeszkód dotarłby on do żurawia studni przy wjeździe do wsi. Nazywała się chyba Przy łąki. Rozłąki, a może Rozwody, nigdy nie udało mi się zapamiętać, mimo że mijałam ją już któryś raz. Dzisiaj również nie planowałam postoju - liczyłam, że przed zapadnięciem zmroku dojadę do sioła Krużany, i póki co podróż mijała bez najmniejszych przeszkód. Słoneczko świeciło jasno, wiatru nie było, chmur także, lekki, przyjemny mróz ani się nie nasilał, ani nie słabł.

- No, Smółka, wio - rozkazałam, lekko dotykając obcasami czarnych boków kobyły.

Ona parsknęła i ruszyła do przodu, szorując pazurami po lodzie. Obejrzałam się - za nami widać było równy szlaczek długich, głębokich zadrapań w otoczeniu niebieskawo-białego proszku. Koński zad podejrzenie zadarł się do góry, Smółka przysiadła na przednich nogach, używając ich do hamowania.

Ech, trzeba jednak było zsiąść z niej przed zejściem... bo to jednak nie niskie sianie, a wcale rosła i wypasiona kobyła. Dobrze będzie, jeśli tylko rozjadą jej się nogi, a co, jeśli spadnie na bok, na dokładkę przygniatając mnie?

Ale nam się upiekło. Pod górą, na posypanej świeżym piaskiem drodze, Smółka wyprostowała się, a jej pazury połączyły, ponownie przyjmując kształt kopyt. Nikt nie widział naszego ślizgu ze wzgórza i nikt nie wyszedł nam na spotkanie. Domki rześko dymiły z kominów, w śniegu brodziły kury, wysoko podnosząc marznące łapy i wydziobując przymarzłe okruszki.

Oranczyca - taką nazwę wsi można było wyczytać z szyldu przy wjeździe. Hm... nic dziwnego, że nigdy nie udało mi się zapamiętać. Możliwe, że zapożyczyli rdzeń słowa z innego języka, bo nie potrafiłam przypomnieć sobie nic podobnego w belorskim. Zdążyliśmy już przebyć wieś i wydostać się za

opłotki, gdy najpierw Smółka, a potem i ja nadstawiłam uszu, próbując zrozumieć, skąd dociera krzyk, który jak najbardziej nas dotyczył.

- Panno wiédźmo! Hej-hej! Stójdzie! - Źródłem dźwięku okazał się chłopak lat około trzynastu, który wyleciał z najbliższej izby w opadających gaciach, spodniej koszuli i łapciach na bosych nogach. - Poczekajcie!

Ściągnęłam wodze i poczekałam, aż malec się ze mną zrówna.

- Kto mnie woła, czego chce?

-Pomocy potrzebujemy, pilnie! - wypalił, ledwo złapawszy oddech.

- A co się stało?

- Strzyga nam się załęgła! - w tym stwierdzeniu szło wyczuć dumę.

- Ile trupów?

- Trzy, więcej nie zdążyła! Rycerz do nas przyjechał! Obiecał, że zabije potwora!

- To po co wam ja?

- No nie zabił!

- Ulitował się? - moje prychnięcie było cokolwiek sceptyczne.

- Nie, skąd! Nie dał rady!

-Aha, czyli co? Chcecie, żebym uzdrowiła tego pechowego strzygobójcę?

- Yhy! I strzygę też! - potwierdził chłopaczek. Z zimna jego zęby zaczęły wybijać radosną melodyjkę.

Z zaciekawieniem opadłam na tylny łęk siodła i skrzyżowałam ręce na piersi.

- No dobrze, strzyg jeszcze w życiu nie leczyłam!

- Nie, leczyć tylko rycerza, strzygę zabić!

- A poważnie ranny?

- Wcale, psze pani, ani zadrapania!

- Wiesz co, może od początku. I po kolei, bo już się do reszty pogubiłam. Co jest z rycerzem i co ze strzygą?

- No strzygi to mieszkają na cmentarzach i w nocy wyłazą z mogił, nie?

- Najczęściej spotykane błędne wierzenie. Dalej?

- Rycerz się zebrali i poszli nocować na cmentarz, a że w nocy był mróz, to prawie do śmierci zamarli.

Rano poszliśmy z chłopakami zobaczyć, znaczy się, kto kogo ubił, a jego to już śniegiem przysypało, tylko czubek hełmu z piórem z zasy sterczy...

Wybuch dzikiego śmiechu nieco małego skonfundował - zamilkł, podejrzliwie przyglądając się zgiętej w pół wiedźmie. Smółka parsknęła z niezadowolaniem i odwróciła się, by sprawdzić, czy z panią wszystko w porządku.

- Odkopaliście? - spytałam, nadal próbując stłumić chichot.

- Odkopaliśmy i natarliśmy słoniną i wódką, tylko on chyba odmroził ręce i



nogi, palców nie czuje, to teraz się boimy, że go gnicie maligniane trafi!

W Krużanach czekały na mnie pilne sprawy i musiałam znaleźć się tam nie później niż w południe następnego dnia, a jeszcze lepiej dziś wieczór. Spojrzałam na słońce. Chyba mogłam wykroić parę chwil, dzień już zaczął się wydłużać i do zmroku było jeszcze dosyć daleko.

-Dobrze, to prowadź. - Zsiadłam i narzuciłam postronek na pierwszy lepszy kołek. O ile znałam Smółkę, przy braku dobrej woli z jej strony nie wytrzymałby nawet stuletni dąb. Chodziło tylko o to, by dać kobyłce do zrozumienia, że idę sobie na krótką chwilę, więc ma nie ruszać się z miejsca i czekać na mnie.

Chłopaczek odwrócił się i uciekł z powrotem do izby. Powoli ruszyłam jego śladem, korzystając z okazji do rozprostowania nóg.

Rycerz faktycznie nie wyglądał najlepiej. Był gorący jak rozżarzony węgiel i cały czas błędził nieprzytomnym, na wpół szalonym spojrzeniem po obszarpanym pokoiku. Palce u rąk i nóg miał opuchnięte i czarne pod paznokciami. Krańcowy stan odmrożenia, czego w zasadzie można się było spodziewać.

Bez chwili wahania przystąpiłam do leczenia. Szczęśliwie dopiero niedawno odświeżyłam podróżny zapas medykamentów, więc dały się wśród nich znaleźć odpowiednie wywary. Przy pomocy ziół oraz magii udało mi się powstrzymać stan zapalny i zbić gorączkę. Oczywiście, minie chwila, zanim biedak stanie na nogach i weźmie do rąk miecz, ale amputacja już mu nie zagrażała. Zostawiłam na stole dwa flakoniki, dołożyłam do nich przepis, po czym zgarnęłam do sakwy całą resztę i wzięłam od gospodarza umówiony kładzień za leczenie. Zbierałam się już do opuszczenia izby, gdy rycerz nagle otworzył oczy.

- Co... co się stało? - zapytał ochryple, rozglądając się na boki.

- Nic szczególnego - zachowałam obojętny ton głosu i dalej sznurowałam sakwę - próba sprawdzenia wytrzymałości strzygi zakończyła się gangreną, ale dzięki mnie znowu ma pan szansę na zwyciężenie jej w uczciwej walce, o ile oczywiście wybierze pan do nocnych patroli nieco cieplejszą porę roku.

- A... tylko że to wcale nie najgorsze. - Chory z ciężkim westchnieniem opadł z powrotem na poduszkę.

- Hm... a co pana zdaniem mogło pójść jeszcze gorzej? - Szczelnie zakręciłam flakonik z ciemnego szkła, obwiązałam go szmatką i schowałam do sakwy.

- Nawara jest w mieście - z rozpaczą poinformował mnie rycerz - i wszystko widział... To koniec... już po mnie...

Z tymi słowami ponownie stracił przytomność, porzucając mnie samą z dwoma sprzecznymi odczuciami. Jednym z nich była desperacka chęć, by uciec gdzie pieprz rośnie, i to natychmiast, po czym nie zatrzymywać się. aż zupełnie

opadnę z sił. Drugim była moja duma zawodowa. Miałabym uciekać?

Ja, czarodziejka pierwszej kategorii? Przed Nawarą?! Hańba!

Wspomnianego delikwenta znałam całkiem nieźle. Chyba nawet zbyt dobrze... Już mieliśmy okazję się spotkać... Dzięki bogom, w tamtym okresie nie byłam jeszcze dla niego obiektem szczucia, bo po prostu nie uznał mnie za godnego przeciwnika, ale od tamtej pory wiele się zmieniło. Może i na gorsze, nie będę się spierać.

A zatem Nawara. Jeżeli wierzyć plotkom, to był on zbiedniałym szlachcicem, który został nie wiadomo kiedy i przez kogo pasowany na wędrownego rycerza.

Osobiście uważałam, że zarówno od środka, jak i z wyglądu był mniej podobny do rycerza niż ja do dziewiczej kapłanki. W najlepszym razie sięgał mi do brwi, ale niedostatek wzrostu kompensował nadmiarem wagi - ot, taka kształnie okrągła figura miłośnika dobrej kuchni. Cienki, czarny wąsik, rzadka, ostra bródka stylizowana na kozią, załączki łysiny, otoczone długimi włosami zebranych w kucyk na potylicy. Patrząc na niego, człowiek miał wrażenie, że Nawara złożył ślubowanie, iż będzie stroił się jak błazen, aż zwycięży krwiożerczego smoka, uratuje księżniczkę, czy też popełni inny szlachetny postępek. Niestety, szlachetne postęпки bynajmniej nie stanowiły sensu jego życia.

W swojej krucjacie Nawara kierował się szczerą i niczym niezmaconą zawiścią.

Ten paskudny typek, niczym prawdziwy ścierwojad, sunął śladem bohaterów, wypytywał, wywachiwał i rozpuszczał plotki - do tego stopnia zmyślnie ułożone i logiczne, że nie było najmniejszej szansy, by im zaprzeczyć. Raen Dolski, doskonały łucznik i fehmistrz, zdolny do uduszenia strzygi gołymi rękoma, ze zdziwieniem dowiedział się, że ma tik nerwowy i w żadnym wypadku nie można go wynajmować, bo zawali zadanie. Dalena Topaz, moja była koleżanka z roku, która z wyróżnieniem skończyła Szkołę Magii, została oskarżona o szarlataństwo, Kiwer Różański podczas przyjęcia w pałacu królewskim dostał wędzone żaby na złotym półmisku. Ot, szczerze przekonanie, że ten pustelnik i asceta żywi się wyłącznie płazami.

Cała wymieniona wyżej trójka już od paru lat bezskutecznie polowała na plotkarza. Kiwer, który przypadkowo został towarzyszem mojej sutej biesiady w miejskiej karczmie, zarzekał się, że jedyną zjedzoną przez niego żabą będzie Nawara. Mało tego, obiecywał, iż osobiście gada przedtem uwędzi.

Żywiłam niejasne podejrzenia, że to właśnie Nawara zareklamował mnie w świecie jako „samolubną, bezlitosną jędzę, co to tylko pieniądz liczy”. Miało to swoje zalety - paskudna reputacja automatycznie podnosiła początkową stawkę

mojego honorarium. Ale też drastycznie zmniejszyła liczbę klientów. Od pewnego czasu zwracano się do mnie wyłącznie w przypadkach beznadziejnych, gdy pozostali najemni magowie zdecydowanie powiedzieli „nie”. Dlatego też wolałam pracować w głuchych i oderwanych od szerokiego świata wsiach, gdzie długi język Nawary jeszcze nie sięgnął.

- Panno wiedźmo - gospodarz izby przerwał moje smutne rozmyślenia - tylko co ze strzygą? Ten tu szanowny pan obiecał, że ją wykończy, tylko teraz sam leży, a zadania nie wykonał. Może pani by się podjęła? Bo mi to wsio jedno, komu płacić...

- Panu to może i wsio jedno, ale niestety jestem zawodowcem najwyższej klasy...

- To przecie ono tak lepiej!

- ... i mam swoje taryfy - dokończyłam.

- A ja teściową - chmurnie odpad chłop. - Miałem, niech jej strzygowy żołądek lekkim będzie. Tak po prawdzie to nikt po niej za bardzo nie płakał, bo się ludziom za życia dała we znaki. Ale mój, jako zięcia, obowiązek, żeby przynajmniej taki szacunek jej okazać, inaczej żona mnie za nią na tamten świat wyprawi. A mnie do teściowej to wcale nie spieszno. No to wyznaczyłem nagrodę za strzygę - schedę po zmarłej, co to miała schowaną pod łóżkiem w pończosze. Bo panna wiedźma wybaczy, ale ze swojej kieszeni to ja za teściową płacił nie będę. Za życia mi więcej krwi wypięła niż ta strzyga.

-I dużo teściowa uzbierała?

- Coś koło dwudziestu kładni, drobnymi, to nie liczyłem dokładnie.

Dwadzieścia sztuk złota jak najbardziej mnie urządało. Może nie był to majątek, ale gdyby nie pośpiech, to propozycja byłaby wcale interesująca. Niestety, musiałam odmownie pokręcić głową.

- Nie. Przepraszam, ale nie mam czasu, a dwadzieścia kładni nie pokryje mi kosztów spóźnienia. Proszę poszukać do roli odważnego wojownika z siłami mroku kogo innego.

- W karczmie to się jeszcze inny rycerz zatrzymał, Nawarą go zwą - chłopak wyraźnie próbował naśladować mowę ojca. - Wczoraj był opowiadał, jak się strzygi skutecznie ubija rzewnymi łzami panny.

Wielmożny pan Rewer to źle zrobił, że nie posłuchał. Też siedział w karczmie, piwo pił, a jak usłyszał, co Nawara baja, to się cały zmienił na twarzy, zębami zgrzyta i mówi: „Wy jego nie słuchajcie, bo cały ten Nawara jest tchórz wielki i oszust, co tylko językiem walczyć zgodny. A strzygę to on jeno widywał w cebrzyku, jak się po wodę schylał.

- A panna wiedźma co powie? - spytał mnie gospodarz. - Da on radę tego upiora pokonać, czy tylko się przechwala?

Miałam zamiar wybuchnąć żarliwą mową, demaskującą „rycerza”, ale niespodziewana myśl kazała mi trzymać język na wodzy.

- Może i lubi sobie czasem ubarwić - odparłam ostrożnie - ale mieczem władać potrafi. Zróbmy tak. Ja wam obejrzę ten cmentarz, powiedzmy, za parę kładni. znajdę gniazdo strzygi, ale ponieważ śpieszę się do Kruzanów, to nocy czekała nie będę, tylko dam Nawarze dokładne instrukcje i niech on tę strzygę ubije. A zapłacicie jemu.



- Zgoda - gospodarz nie wahał się ani chwili - to ja pójdę, pomówię z nim.  
- Przecież nie wiemy jeszcze, z czym przyjdzie walczyć. Najpierw muszę się przyjrzeć legowisku.

Sama porozmawiam z Nawarą, tylko trochę później. Póki co niech mi wasz syn wskaże drogę na cmentarz.

- Ja to i zaprowadzić mogę! - chłopak aż płonął z entuzjazmu.  
- Ty to będziesz w domu siedział - ojciec podniósł głos. - Babcia się już naodprowadzała...

\* \* \*

Na cmentarzu było... zimno, ale to tyle. Na palach ogrodzenia tańczyło słońce, płyty nagrobne kryły się pod czapami śniegu. Jakie tam potwory czy strzygi?! Miejsce spokojne jak mało które. Spacerowałam po ścieżkach jak po alejkach miejskiego parku, podziwiałam pomniki, zażywałam świeżego powietrza i próbowałam odgadnąć, w której zaspie nocował mój dzisiejszy pacjent.

Czując zdecydowane ukłucia mrozu na nogach, uznałam, że swoje dwa kładnie już odpracowałam i zawróciłam do bramy. Za ogrodzeniem cmentarza natknęłam się na znajomego chłopaczka.

- A ty co tu robisz?  
- Spojrzeć żem chciał... - przyznał się. - No i jak, znalazła pani strzygę?  
- Znalazłam - skłamałam.  
- To czego tak cicho?  
- Ponieważ w dzień strzyga śpi w swojej mogile, głęboko pod ziemią. - Czasami przesady jednak się przydają. Moje wyjaśnienia wzięte zostały za dobrą monetę i nie pojawiły się żadne pytania typu „to jakim cudem truposz co noc wychodzi na powierzchnię przez głęboką na osiem łokci warstwę przemarzłej ziemi z płytą nagrobną na wierzchu”. - Odprowadzisz mnie do karczmy? Muszę pogadać z Nawarą.

- Pewnie - zgodził się chłopak. - On to o pani opowiada na całego, od samiotkiego ranka. Ze niby to ta właśnie...

- Co?! To poproszę ze szczegółami!

Ta właśnie... Nawara nieźle się napracował! Okazało się, że kradnę małe dzieci, palę świątynie, zabieram pieniądze sierotom, krzywdzę kaleki i nie potrafię nic oprócz zdjęcia złego uroku czy klątwy, które przedtem sama rzuciłam.

- Znalazł się bajarz! - zakląłam przez zęby. - Żeby przynajmniej coś nowego wymyślił.

- To on nie jest prawdziwym rycerzem? - Dzieciak szczerze się zasmucił. - A tak fajnie opowiadał, jak walczył z potworami! Ja tom myślał, żeby móc choć



jednym okiem spojrzeć...

- Spojrzysz... - obiecałam. - Przyjdzie czas, to wszyscy spojrzemy. .. Tylko muszę cię prosić o drobną przysługę. Jak doprowadzisz mnie do karczmy, to pędź do domu i poproś ojca...

Pochyliłam się i szepnęłam dzieciakowi na ucho parę słów.

- ...i od razu przyniesiesz ją do mnie. Rozumiesz?

- Tak jest, panno wiedźmo. Jedną taką mamy, kompletnie już do niczego, tatko już się zbierał, co by ją wyrzucić, tylko się nijak nie zebrał.

- To doskonale. Ruszamy.

\* \* \*

W przepelnionej karczmie Nawara cokolwiek rzucał się w oczy. Oparty o ladę, otoczony prostymi ludźmi i kuflami piwa, sypał dookoła pięknymi słówkami o nie perspektywicznych zjawiskach światowej nauki i magii. Dolatywały do mnie tylko urywki z niezbyt sensownego, ale wysoce intelektualnego przemówienia:

.. bo z racji na słabość rozumu swego nigdy nie zdołają wznieść się do pojmowania poziomu jakości... .

Cała uwaga kompletnie nic nie rozumiejącej, ale zachwyconej publiczności skupiona była na mówcy, za to on sam bacznie patrzył dookoła.

- O nie! - jęknął z udawaną rozpaczą na mój widok. - Biedny Rewer! Czyżby jednak nie udało wam się znaleźć prawdziwego znachora?!

- A kto by o takiej pogodzie chciał nos z domu wychylić? - całkiem słusznie zauważył mój przewodnik.

Dzięki bogom, że panna wiedźma akurat przejeżdżała! Ona pana Rewera w mig na nogi postawi!

- Bogowie niech pomogą... - Nawara ze współczuciem pokręcił głową i pociągnął łyk z kufła, świdrując mnie spojrzeniem znad jego glinianej krawędzi.

- Witam, wielce szanowny Nawaro! - mruknęłam słodkim głosem, odprowadzając spojrzeniem uciekającego dzieciaka. - Jak pana drogocenne zdrowie?

„Rycerz” opuścił kufel, obnażył w uśmiechu dwa rzędy dużych, białych zębów i szyderczo się uklonił:

- Toć wszystko dzięki pani modlitwom, panno wiedźmo! Wyłącznie pani zawdzięczam tak dobre zdrowie!

- Cieszy mnie to niezmiernie. To co nowego wieść gminna niesie? - ciągnęłam możliwie przyjaźnie, zajmując miejsce przy narożnym stole. - Jak pańskie sukcesy? Ile reputacji udało się zrujnować w tym roku? Czyja głowa dołączyła do panoptikum pańskich trofeów?

Nawara uśmiechnął się ponownie i niewyraźnie wzruszył ramionami, nie wdając się w otwartą walkę, po czym wrócił do przerwanej rozmowy z towarzyszami od kieliszka. Śliczna roznosicielka przyjęła moje zamówienie i ruszyła w kierunku kuchni. Gdy mijała ladę, Nawara złapał ją za łokieć, szepnął coś na ucho i równocześnie wyciągnął z sakiewki srebrną monetę. Dziewczyna skinęła głową, wrzuciła pieniążek do kieszeni fartucha i zniknęła za drzwiami. Nie musiałam długo czekać - akurat trwała pora obiadowa, więc nie trzeba było nawet odgrzewać jedzenia. Wszystko gorące i świeżutkie, przygotowane zawnazas w oczekiwaniu na napływ klientów.

- A to co? Nie zamawiałam! - Zdecydowanie odsunęłam na bok pękatą butlę z winem, oplecioną słomą.

- To od pana przy ladzie - tonem spiskowca szepnęła dziewczyna, wskazując spojrzeniem Nawarę.

Zacisnęłam zęby. Niestety mój organizm kompletnie nie tolerował alkoholu. Bardzo szybko się upijałam i traciłam panowanie nad swoim i bez tego zbyt ciętym językiem. Miałam tego doskonałą świadomość i dlatego nigdy nie sięgałam po nic mocniejszego od nalewki, a nawet z nią nie przesadzałam - kieliszek, może dwa, ale to tyle. Skąd Nawara mógł wiedzieć o mojej słabej głowie? Czyżby bywał w Warokczu? Tam faktycznie zdarzyła mi się przygoda na podpicciu, ale był to zarazem pierwszy i ostatni raz w życiu.

- Niech mu pani odda. Albo nie, lepiej zabierze dla siebie. Bo jeśli „pan przy ladzie” wypije moje zdrowie, to mam szansę paść trupem.

Panna kompletnie nic nie zrozumiała, tym niemniej podziękowała za prezent i zabrała butelkę z powrotem do kuchni.

Ja bez szczególnego apetytu grzebałam w misce gotowanych ziemniaków z mięsnym sosem i rzucałam spojrzenia na drzwi karczmy i na Nawarę. Wąsaty oszust bawił swoje towarzystwo długim monologiem, z którego do mnie dolatywały tylko niewyraźne urywki słów, ale co i rusz jeden czy drugi jego kompan odwracał się, żeby na mnie spojrzeć, i zanosił rechotem.

W końcu jednak doczekałam się powrotu mojego gońca.

- Tu, panno więdźmo, mam! - Chłopak uniósł nad głową łopatę na krzywym trzonku. - Zardzewiała, jak pani prosiła.

- Panna więdźma zdecydowała się zostać poszukiwaczką złota? - uprzejmie zapytał Nawara.

Ignorując rechot stałych bywalców, zabrałam dzieciakowi łopatę, podeszłam do „rycerza” i dokonałam uroczystego wręczenia.

- A mi to po co? - szczerze zdziwił się, oglądając narzędzie.

- Jak to po co? - moje zdumienie wyszło znacznie bardziej fałszywie. - Do wykopywania strzygi.

-Co?!

- Przed północą musi pan wykopać strzygę i skropić ją rzewnymi łzami panny, tym od wieków sprawdzonym eliksirem, który zmieni krwiopijcę w proch - wyjaśniłam radośnie.

W karczmie zapanowała grobowa cisza.

- Dziękuję za taki zaszczyt. - „Rycerz” spróbował oddać mi łopatę, ale założyłam ręce za plecami i zrobiłam krok do tyłu.

- Nawaro, czyżby nie chciał pan uratować wsi? - Udałam przestach i omiotłam spojrzeniem wypełnioną ludźmi salę. - Niech pan pomyśli o kobietach... dzieciach...

Patrząc na zapite i zarośnięte gęby chłopów, trudno było myśleć o czymkolwiek prócz szkodliwości alkoholu, ale udało mi się. Tłum złapał temat, zafalował i zaczął wymieniać między sobą ciche komentarze.

- Te, wiedźmo, a czemuś sama nie polazła do tej mogiły ze strzygą? - podejrzliwie zapytał karczmarz. - Ubijanie potworów to przecie twoje rzemiosło!

- Niestety, Niestety... - pokręciłam głową z udawaną rozpaczą - wszystko, co powiedział o mnie ten szlachetny rycerz, jest absolutną prawdą. Moja mizerna sztuka jest bezsilna wobec krwiożerczego potwora, I tylko pan, Nawaro, może uwolnić świat od jego tyranii. Błagam, niech pan nie odmawia! Nie pozbawia tych wspaniałych ludzi ostatniej nadziei!

Komentarze „wspaniałych ludzi” zmieniły ton na nieco przestraszony, a oni sami wymieniali spojrzenia i poszturchiwali sąsiadów. Nie pozwalając Nawarze się opamiętać, zdjęłam ze ściany wiązkę czosnku i założyłam na jego szyję.

- To przyniesie panu szczęście! Szlachetny rycerzu, niech pan powróci zwycięsko! - Pozwoliłam, by po lewym policzku spłynęła mi łza zachwytu. - Będziemy się za pana modlić!

- Panno wiedźmo, ze smutkiem muszę zauważyć, że pani zdrowie psychiczne pozostawia wiele do życzenia! - Nawara odrzucił łopatę i zaczął zdejmować czosnek z szyi. Wyglądał na poważnie wkurzonego.

- Ty, łycerz, czekaj no! - Do przodu wyszedł solidny rudobrody chłop, na oko starosta Oranczy. - Ty, tego no, odmawiasz? Czy jak? Działki małe skazujesz na okrutną śmierć?

- Szanowny Godeszu, przy całej mojej pokorze i cierpliwości ośmielę się zauważyć, że większej bzdury z ust wiedźmy nie słyszałem od czasu wizyty w namiocie wróżki, w którym zapowiedziano mi śmierć w niemowlęctwie, z którego jak pan sam może zauważyć, szczęśliwie wyrosłem już trzydzieści lat temu! W związku z czym pozwolę sobie się pożegnać - z irytacją rzucił Nawara i zaczął przepychać się do wyjścia, ale chłopci zwarli szeregi jak przednia linia

tarczowników na polu walki.

Nawara tęsknie spojrzął na drzwi, po czym podjął swoją ostatnią, z góry przegraną bitwę.

- Pomyślmy logicznie. Jeżeli wiedźma nie dała rady zniszczyć strzygi, to co mogę zrobić ja, zwykły śmiertelnik?

- Wszyscy jesteśmy śmiertelni - uśmiechnęłam się - ale pan jest silnym mężczyzną, a ja słabą kobietą.

Doskonale włada pan mieczem, a ja nigdy nie trzymałam w rękach nic cięższego od noża do krojenia chleba. Czary? Zahartowana stal - oto jest najlepszy towarzysz w walce z potworami. Moja domena to klątwy i uroki, a pańska - walka i sława. Tak więc przyjmijmy wyroki losu!

- Niech pani powie wprost, że ma pani pietra - spróbował mnie sprowokować Nawara.

- Mam - powtórzyłam posłusznie, ze wstydem opuszczając oczy ku podłodze. - W życiu się tak nie bałam... w przeciwnym razie nie zniżyłabym się do proszenia o pomoc. Błagam, niech pan ratuje! W panu cała nadzieja!

- A jak nie będzie chciał pomagać, to my go na pal! - skomentował chmurny głos ze zwartych robotniczych szeregów. Starosta z aprobatą pogładził się po brodzie.

- Ale ja chcę, naprawdę... bardzo chcę! - Nawara zaczął się wycofywać. - Tylko mało prawdopodobne, by miało mi się udać. Przecież nie jestem wszechmogący. Taką stryge ubić to nie to samo, co zarznąć prosię. Konieczna jest specjalistyczna wiedza, doświadczenie, że tak powiem, właściwe odruchy...

- No to coś ty wczoraj o tym całym ubijaniu przez cały wieczór prawił, uczciwym ludziom we łbach mieszał? - chmurny głos należał do kowala, postawnego mężczyzny, ubranego w samodział i skórzany fartuch, upstrzony czarnymi śladami wylatujących z tygla skier. - Z bajaranami to my krótko gadamy, jeszcze żaden bez dziegciu i piór nie uszedł!

Tłum mruknął z aprobatą. Stało się oczywiste, że historia tak czy siak zakończy się trupem - strzygi albo Nawary.

- No dobrze, przekonaliście mnie - „rycerz” poddał się i nawet uniośł ręce, by dodać swoim słowom wymowy - wykopię dla was tę cholerną stryge!

„I zakopię wiedźmę!” - dało się wyraźnie odczytać w jego oczach.

Tłum ryknął radośnie, w powietrze poleciały czapki.

- Niech żyje Nawara! Chwała odważnemu rycerzowi! Ruszamy na cmentarz! Wiedźmo, pokaż no to strzygowe leże!

Te rzewne łzy się zaraz skombinuje! - obiecał starosta. - Babę zmusić do płaczu to za warkocz pociągnąć, i tyle roboty. A panny się posadzi do krojenia cebuli. Pełna kadź się uzbiera, najprzedniejszej jakości!

- Ale pal i dziegieć sobie poczekają... - skonkludował wyraźnie rozczarowany kowal.

Tłum ruszył na cmentarz, jakby trwało jakieś ludowe święto - z gwizdem, okrzykami i żarcikami. Na czele pochodu kroczyła ja, trzymając w wyciągniętych dłoniach łopatę. Za mną czworo postawnych chłopów niosło na rękach Nawarę. Jego wymęczony uśmiech co i rusz zmieniał się w grymas desperacji.

Po drodze do bywalców karczmy dołączył, kto mógł - kobiety, dzieci, starsi, psy i nawet biały gąsior, który w pośpiechu przewalał się z łapy na łapę, by nadążyć za ludźmi. Tak wesołej procesji stary cmentarz jeszcze nie widział.

- Tutaj! - Wetknęłam łopatę w zaspę. Przednie szeregi miłośników rozrywki cofnęły się, Nawarę postawiono na ziemi.

- A cóż to za mogiła? - Starosta bez przekonania podrapał się po potylicy. - Ani krzyża, ani nagrobka.

- Kto niby miał krwiopijcy nagrobek stawiać? - odparłam. - I sam pan pewnie wie, że strzygi to krzyży nie znoszą.

Specjalnie wybrałam kawałek ziemi wolny od mogił. Uciecha żywych nie była warta tego, by burzyć pokój zmarłych. Niech Nawara się spoci, kopiąc wzmocniony mrozem i brzozowymi korzeniami ugór.

- To niechaj kopie - zarządził chmurny kowal. - Słońce zaraz do dołu ruszy, a ziemia i tak przemarzła.

Chłopi wstrzymali oddech.

Nawara pokręcił łopatę w dłoniach, niezgrabnie spróbował zdjąć nią wierzchnią warstwę śniegu, ale zardzewiałe żelazo tylko śliznęło się po grubej warstwie lodu.

- Szanowna wiedźmo, a czy to naprawdę istotne, kto będzie kopał? Może wszyscy złapiemy za łopaty?

A potem to się wykaże, wyjdę na strzygę sam na sam.

- Wykluczone - odparowałam mściwie. - Strzyga jest jak zaczyn do chleba. Nie można ruszać cudzymi rękoma, bo się nie podniesie.





Kobiety spojrzały po sobie z aprobatą, wyraźnie uznając we mnie znawczynię sekretów kulinarnych.

Nawara wyobraził sobie wstającą z kadzi strzygę, splunął i walnął łopatą po śniegu jak łomem. Tym razem udało mu się przebić w lodowej krze wąską szczelinę.

Spojrzałam na słońce. Rzeczywiście, wyraźnie chyliło się ku zachodowi, co

oznaczało, że miałam coraz mniej czasu. Szkoda, że nie zobaczę wyników katorżniczego trudu oszusta.

- Niech pan pamięta, równo o północy strzyga zacznie ożywać! - zawylałam złowieszczo, próbując możliwie mocno wystraszyć chłopów. Wiatr uniósł moje długie rude włosy, w czarnej głębi źrenic zapaliły się karmazynowe skry. - Najpierw otworzy oczy... Potem wyciągnie do pana swoje zimne, pazurzaste łapy...

Wczułam się w rolę do tego stopnia, że wyciągnęłam ręce do kowala i patetycznie potrząsnęłam go za kołnierz. Biedak stał jak słup soli, a jego głowa majtała się w tę i nazad do wtóru moich ruchów.

- ... Potem przyssie się do pana szyi... przegryzie tętnicę szyjną... i będzie piła ciepłą, słodką, gęstą, karmazynowa krew!

Darowałam sobie gryzienie kowala, ponieważ nawet bez tego zrobił się biały jak prześcieradło, wydawał z siebie niewyraźne dźwięki i słabo próbował się wyrwać.

- I jeżeli zrobi to wszystko, zanim okropi ją pan tymi rzewnymi łzami - rozluźniłam ręce i ostrożnie rozprostowałam pomięty kołnierz kowala - to cały dzisiejszy trud pójdzie na marne. Więc niech się pan śpieszy. No cóż. bardzo mi było miło poznać wszystkich państwa, ze szczególnym uwzględnieniem szanownego Nawary. Na zawsze zachowam w sercu ciepłe wspomnienia tego wielkiego dnia. Żegnam i życzę powodzenia!

Wyszłam z cmentarza bez oglądania się za siebie. Nie mieli po co oglądać paskudnego uśmiechu, który gościł na mojej twarzy.

\* \* \*

Ale nie odjechałam daleko. Prawie natychmiast za opłotkami znowu ktoś mnie zatrzymał. Tym razem posłaniec od Orsany Świętokrasa. Konik, na którym jechał, był niziutki, kosmatonogi, wyposażony w kolczaste podkowy - i tylko dzięki temu nie ślizgał się przy każdym kroku.

- Panno wiedźmo, moja pani Świętokrasa składa pani i wszystkim pozostałym gościom swoje szczerze przeprosiny. Ku jej wielkiemu żalowi ślub zostaje przełożony.

- Co, znowu się pogryzła z Rolarem? - Uśmiechnęłam się. - Zamek jeszcze stoi?

Orsana. czarująca kobieta, a w przeszłości najemna wojowniczką, była tą właśnie przyczyną, dla której tak bardzo śpieszyłam do Krużanów. Zaręczyła się jeszcze na jesieni, a ślub był wyznaczony na jutro. Dzisiejszej nocy miał odbyć się wieczór panieński, na który - jako druhna - po prostu nie mogłam się spóźnić.

- Bynajmniej się nie kłócili. A nawet na odwrót, gruchają do siebie jak te

gołąbki. Młodzi gotowi są iść do ołtarza nawet teraz, za to goście zawiedli. Sama pani spojrzysz, jak to wszystko oblodzone, i to już drugi tydzień. Niektórzy w ogóle odmówili, kto inny zaryzykował, ale na ganku się rozmyślił.

Sąsiedzi to może przyjadą, ale przecie zaproszenia rozesłane po całym kraju, niektórym nawet tygodnia nie starczy na dotarcie do Krużanów. A w samym zamku to jeszcze gorzej: kamienne schody codziennie posypywane są piaskiem, tylko skutek żaden. Przed samym ślubem to zamieszanie i tak biegają, że pod nogi nikt nie patrzy. No to teraz mają tam nie zamek, a ogólny szpital. Odźwierny złamał nogę, kucharka rękę. Stajenny tak przygrzmocił głową o poręcz, że koni nie poznaje, nie może rumaka do wyścigów odróżnić od ciężarnej kobyły. Orsana rozesłała gońców na różne strony, kazała wszystkim przeprosić i zawrócić ich do domów. Kto bliżej nas niż domu, to zapraszamy serdecznie, goście zawsze mile widziani. Tylko na ślub już się nie ma co śpieszyć, przesunęli go o trzy miesiące, do wiosny.

Powiedziałam gońcowi, że jednak przyjadę do Krużanów, ale jutro. I niech Orsana nie martwi się o pokaleczone sługi, postaram się pechowcom pomóc.

Uczciwie mówiąc, wieści o zmianie matrymonialnych planów przyjaciółki przyjęłam ze sporą radością. Gryzły mnie wyrzuty sumienia. Nie z powodu Nawary, tylko strzygi. Mieszkańcy mi uwierzyli, uspokoiли się, przestali pilnować. A strzyga pewnie już puszczała ślinkę z podziękowaniami!

Przypomniałam sobie o dwudziestu kładniach i ostatecznie pogodziłam się z przeniesieniem ślubu.

Druga połowa dnia upłynęła na poszukiwaniach strzygi. Tej prawdziwej. Udekorowana amuletami jak uliczny pies rzepami, przeczesalam wszystkie okoliczne parowy, zawały, zniszczone domy, a nawet porzucone wilcze nory. I nic. Mając już pewne doświadczenia w obcowaniu ze zwykłymi ludźmi, nie skupiałam się za bardzo na słowie „strzyga”, ponieważ wiedziałam doskonale że dla chłopów oznacza ono dowolnego potwora, wliczając w to również i strzygi. W lesie mieszkali lesze, w wodzie wodnicy, w domach skrzaty domowe. Strzygi piły krew, kudiaki jadły mięso, więc bazując na tej wiedzy etologicznej, szukałam czegoś dziwnego i krwiożerczego, mającego na dokładkę ostre zęby.

Tyle że nie znajdowałam.

Odpytałam krewnych i sąsiadów ofiar. W ciągu ostatniego tygodnia strzyga zjadła tylko jedno dziecko, jednego mężczyznę i jedną podstarzałą teściową, z czego wynikało, że niespecjalnie wybrzydza w kwestii gastronomicznej i może poradzić sobie z kimkolwiek. Wszystkie ofiary w chwili śmierci znajdowały się poza budynkami, czyli nie umiała przenikać przez ściany. Spytałam, czy we wsi zginęły psy, koty albo duża czy mała rogacizna,

Nie, nie zginęły. Po nocach nic nie drapało w okna. nie wyło? Oczywiście, że

drapało i wyło, a do tego stukało, waliło i w ogóle przez ostatnie dwadzieścia lat nie ma żadnego ratunku przed tymi potworami.

Czy ktoś miał jakieś podejrzenia? Podejrzeń było tyle, że w ich świetle wieś rysowała się jako wylęgarnia imienia Świętej Strzygi.

Marnowanie czasu. Z myślami o zagadkowym potworze, żalami z racji niemożności obejrzenia trupów, które spalono, by zmarli krewni przypadkiem nie powrócili w nowej, uzębionej postaci, nie zauważyłam nawet, gdy dotarłam do cmentarza.

Mój zmęczony wzrok napotkał piękny widok. Nawara zrzucił kolczugę na ziemię i, ociekając potem, wykopywał strzygę. Z dolnych gałęzi brzoź zachłannie obserwowały go szare wrony, które od czasu do czasu wymieniały pomiędzy sobą ochryple komentarze - prawdopodobnie liczyły na suty żer.

Wykopaliskom przyglądały się nie tylko ptaki. Obok cmentarza co i rusz przechodzili ludzie, którzy pragnęli na własne oczy przekonać się, jak stoją sprawy odważnego kopacza strzyg. Starosta po prostu spacerował dookoła dołka, założywszy ręce za plecami. A dzieciarnia nie zlazła z płotu i okolicznych dachów.

Przez chwilę w milczeniu podziwiałam sielankowy widok zimowych robót polowych, po czym uznałam, że czas zapoznać się z postępem ekshumacji z bliska.

Na mój widok Nawara wstrzymał kopanie, wetknął łopatę w śnieg i oparł się o trzonek.

- Panno wiedźmo, niech pani posłucha. Skończmy ten cyrk. Nie gorzej ode mnie wie pani, że nie ma tu żadnej strzygi.

- Oczywiście, że jest - zapewniłam z drwiną w głosie. - Niech szanowny rycerz kopie i się nie zatrzymuje. Czasu zostało wcale nie tak wiele. Proszę pamiętać, że uważnie obserwuje pana cała wiejska dzieciarnia, i nie tylko ona.

- Po co pani w ogóle to wszystko zaczęła? Co ja pani zrobiłem?!

- Ależ szanowny Nawaro, bogowie uchowajcie! Kompletnie nie wiem, o co panu chodzi! Teraz pana chwała pogromcy potworów będzie niosła się znacznie dalej niż moja! Proszę zwrócić uwagę, jak szlachetne są moje zamysły... w odróżnieniu od pańskich!

- Czyli to zemsta? - domyślił się w końcu „rycerz”.

- Podła, niska i paskudna - zgodziłam się chętnie.

- Odpowie mi pani za to! - obiecał Nawara, wyciągając łopatę z zasy. - Nie wstyd pani? Dorosła kobieta, a marnuje czas na tak głupie dowcipy. Przynajmniej by mi pani dała normalną łopatę, a nie tę ofiarę wody i czasu!

- Normalną to pan strzygi nie wykopie.

- A to dlaczego?

- Bo ją odwiedzie.

- Ręką czy jak?

-Nie, siłą myśli. I wykopie pan w końcu, zamiast strzygi, powiedzmy, teściową swojego pracodawcy.

To dopiero będzie dowcip! On tu cały szczęśliwy, że ją zakopał, wątpię, by się ucieszył z takiego znaleziska archeologicznego.

- Tfu. Ze też pani takie bzdury do głowy przychodzą! Nie próbowała pani pisać pamiętników?

- Po co? Z moimi pamiętnikami radzi sobie pan znacznie i lepiej ode mnie.

- A mogę przynajmniej rozpalić ognisko? Ziemia jest twarda jak kamień!

- Przy odkopywaniu strzygi należy używać wyłącznie środków mechanicznych - odparłam jadowicie.

- W takim razie niech mnie pani przynajmniej zostawi w spokoju! Podobno się pani gdzieś śpieszyła?

- Dla pana. Nawaro, jestem gotowa zmienić plany.

- Dla pani. panno więdźmo, nie miałbym najmniejszego problemu z wykopaniem jeszcze jednej mogiły

- zapewnił mnie Nawara przez zęby.

\* \* \*

Przed zmrokiem „rycerzowi” udało się przekopać przez górną, zmarzniętą warstwę i prace ruszyły szybciej. Górka czarnej ziemi obok wąskiej jamy rosła w oczach. Jakaś panna o dobrym sercu przyniosła na cmentarz garniec gorącego kapuśniaku, więc Nawara mógł usiąść na płocie i zjeść kolację, cały czas zachowując chmurny wyraz twarzy.

Im wyżej podnosił się pełny księżyc, tym mniej było chętnych, by dotrzymać kopaczowi towarzystwa.

Jako ostatni cmentarz odwiedziliśmy ja i starosta.

- Tu, panie szanowny, masz łyzy panięskie. Tak rzewne, jak się da. - Starosta podał Nawarze niezbyt czystą butlę, do połowy wypełnioną mętym płynem.

- Prawdziwy samogon - zażartował „rycerz”, ale pod groźnym spojrzeniem rudobrodego zakrztusił się i ostrożnie zabrał z jego rąk drogocenny ładunek.

- Nawaro, może pan być z siebie dumny - dodałam, odczekawszy, aż starosta oddali się na bezpieczną odległość. - Z pańskiego powodu rozpaczła cała żeńska populacja wsi, wliczając w to stuletnie babki.

Własnymi oczami widziałam, jak pełną piersią wdychają one zapasy strategicznie posiekanej cebuli.

- Niech mi pani lepiej powie, ile jeszcze mam tu sterczeń?

- Do pierwszych kogutów. Albo nie, do trzecich, tak będzie pewniej! -



oznajmiałam mściwie.

Nawara zaklął.

- Rano naśle na panią całą wieś!

- Rano już mnie tu nie będzie - uśmiechnęłam się złośliwie.

- Panno wiedźmo, nienawidzę pani - uroczyście ogłosił Nawara, odwrócił się do mnie plecami i wznowił kopanie.

- Wzajemnie - odparłam z godnością i odeszłam.

Byłam z siebie bardzo niezadowolona i długo nie mogłam zasnąć. Gdzie on może być? Czym może

być? I na ile jest groźny? W izbie panowała cisza. Gospodarze już poszli spać, niemowlę w kołysce w końcu ucichło i chłopiec, który przed chwilą je bujał, na paluszkach przekradł się do pieca i wsunął pod kołdrę. Może bym i zasnęła, ale dokładnie w tejże chwili ocknął się Rewer, który z jękiem poprosił o coś do picia. Narzuciłam kurtkę, zapaliłam świecę i zaczerpnęłam ciepłej wody ze stojącego na piecu garnka.

Usiadłam na krześle obok pościania chorego. W czasie gdy on pił, miałam okazję przyjrzeć się wynikom swojej pracy, z których mogłam być całkowicie zadowolona - opuchlizna zauważalnie się zmniejszyła, a sam rycerz mógł już lekko poruszać palcami.

- Rewer, niech mi pan opowie o tej strzydze - poprosiłam. - Widział ją pan?

- Nie.

- To po co poszedł pan na cmentarz? Czy pan również wierzy w bajki o samozakopujących się trupach?

- Nie. Ale tam była krew.

- W sensie... ofiara?

- Nie, trupy znaleziono w różnych miejscach wsi, jeden nawet za opłotkami. Ale sama pani o tym wie, jeśli pytała miejscowych. Ja zobaczyłem plamę świeżej krwi na nie ruszonym śniegu, tuż za bramą cmentarza. Wyglądała, jakby spadła z drzewa, ale na drzewie nie było ani strzygi, ani dziupli, w której mogłaby się ukryć za dnia.

- To była ludzka krew?

- Tak, mam specjalny amulet na wypadek wątpliwości. Plama wyglądała, jakby potwór wypił za dużo i beknął częścią krwi, żeby łatwiej mu się leciało.

- Całkiem możliwe. A w nocy nie zauważył pan nic podejrzanego?

- Nie, nic. I jak ja mogłem zasnąć?!

- A pamięta pan, jak zasypiał?

- Nie... zresztą... sen przyszedł bardzo szybko. Powiedziałbym nawet, że nieoczekiwanie.

- Dziękuję, teraz mam przynajmniej jakiś punkt zaczepienia... O cholera!

Przecież tam jest Nawara!

\* \* \*

Błyskawicznie się ubrałam i z pochodnią w ręku wbiegłam na cmentarz.

Poraziła mnie panująca tam cisza. Zawsze uważałam, że jestem ponad przesady, ale w tym momencie miałam wrażenie, że na płytach nagrobnych było podejrzanie mało śniegu, a one same tylko czekały, by ze skrzypieniem odjechać w bok. A potem tylko kościste ręce w strzępkach białego sawanu, wychylające się ze środka.

- Hej, Nawaro! - krzyknęłam na całe gardło.

Przy dołku, który niezbyt powiększył się od czasów poprzedniej inspekcji, nikogo nie było. Tylko trzonek łopaty, wystający z zasy. Na wszelki wypadek upewniłam się, że pod śniegiem też nikogo nie ma, po czym, zagubiona, rozejrzałam dookoła.

- Nawaro! Gdzie pan jest? A niech to leszy...

- Tutaj - nieprzyjaźnie odezwał się szary cień, wychodząc zza drzewa. - Chyba nie myślała pani, że przez całutką noc będę prowadził wykopaliska z samej tylko miłości do ciężkiej pracy?

- Myślałam, że lenistwo i mróz stoją ze sobą w pewnej sprzeczności - odparowałam, tłumiąc westchnienie ulgi.

- Mam tu sposób na rozgrzanie. - Zademonstrował mi płaską flaszkę, po czym odkręcił korek i pociągnął parę łyków. - A pani nadal biega z kontrolami? Czy może sama by chciała chwilę pokopać?

Zapewniam, że to wyjątkowo ciekawe zajęcie.

- Patrząc na pana, jakoś mi się nie chce wierzyć.

- Czym w takim razie zasłużyłem na tak późną wizytę?

- Martwiłam się o pana.

- Ojej... a skąd się wzięła tak rozczulająca troska o paskudnego plotkarza?

- Chyba wiem już, kim jest nasza tajemnicza strzyga.

- Obawiam się, że muszę panią rozczarować. To nie ja. Słowo honoru.

- Ze smutkiem przyznaję, że panu wierzę. - Kątem oka dostrzegłam rozmyty ruch pomiędzy pniami drzew i odwróciłam się gwałtownie, kreśląc pochodnią karmazynowy łuk.

- Cóż to, panno więdźmo, nerwy nie w porządku? - ze współczuciem zapytał Nawara.

Nie odpowiedziałam. Z uwagą wpatrywałam się w mrok. Śnieg fosforyzował w świetle księżyca, a pnie drzew na jego tle wydawały się czarnymi szczelinami.

- Widzi coś pani? - z głosu mężczyzny zniknął humor, a jego prawa dłoń wyćwiczonym gestem opadła na rękojęć noża w przypiętej do pasa pochwie.

- Nie. - Przeniosłam spojrzenie z dalekich krzaków... i wzdrygnęłam się, zaskoczona.

Wprost przede mną, w odległości jakichś pięciu łokci, na szczycie kamienia nagrobego siedział najeżony stwór o rozmiarach koguta. Trzymał się kamienia grubymi i krótkimi łapami, podobnymi do sowich. Przednie łapki, cienkie i zakończone długimi, wygiętymi palcami, swobodnie zwisały wzdłuż ciała, nie sięgając podpory. Głowa na długiej szyi trochę przypominała bocianią - płaskie czoło, długi i wąski dziób. Ciało istoty, z wyjątkiem skórzanych skrzydeł, od góry do dołu pokryte było kolczastymi łuskami, które na plecach zmieniały się w przybliżony grzebień.

Stwór napotkał moje spojrzenie, po czym z oburzeniem otworzył dziób, na całej długości wypełniony drobnymi, ostrymi zębami. Dźwięku nie usłyszałam, ale wiedziałam, że był i co oznaczał. Wyrzuciłam do przodu rękę w geście ochronnym, a następnie zrozumiałam (ale nie poczułam), że i tak spadam na śnieg - natychmiastowa utrata przytomności stąpiła się do mocnych zawrotów głowy i słabości w nogach.

Nieoczekiwanie stworzenie zachwiało się, machnęło skrzydłami, niezgrabnie ześlizgnęło się z nagrobka i ruszyło w bok i do góry, znikając z widoku.

Senna mgła przed moimi oczami się rozwiała. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak Nawara opuszcza rękę.

- Czym pan w nią rzucił?

- Panieńskimi łzami. Razem z butelką. Mam nadzieję, że teraz przekonała się pani o ich magicznej mocy?

- Oj tak!

- A co to było?

- I'inaiti. Drobną harpia.

- Drobiazg, acz nieprzyjemny - skomentował. -1 czego możemy się po niej spodziewać?

Akurat pochylił się, sięgając po łopatę, gdy i'inaiti nieoczekiwanie wynurzyła się z mroku i spadła na jego kark, dźwięcznie trzepocząc skórzanymi skrzydłami. „Rycerz” zakreślił się jak bączek, próbując ją zrzucić, lecz szczęknęcie uzębionego dzioba tuż przy uchu w jednej chwili pozbawiło go zarówno duchowej, jak i fizycznej równowagi. Upadł i kilka razy przetoczył się po oblodzonej ścieżce.

Przyściśnięty jego ciałem drapieżnik wydal z siebie przenikliwy wrzask, bardziej przypominający skrzywienie zardzewiałej furtki, po czym rozluźnił chwyt. Zanim Nawara zdążył złapać leżącą obok łopatę, i'inaiti odskoczyła na bok, a następnie w podskokach uciekła w mrok i chyba wzniosła się w powietrze - nad głową usłyszałam oddalający się odgłos skrzydeł.

- Bbbydlę! - wyrwało się Nawarze. - Tyle dobrego, że mam kolczugę pod gardło...

- To czemu jej pan nie złapał?!

- Tę skrzydlatą paszczę? Wypraszam sobie. Następnym razem, gdy poszczuje mnie pani na strzygę, to bardzo bym prosił, żeby jako broń dano mi metalową siatkę.

- Ja bym złapała - burknęłam, w głębi duszy przyznając mu rację.

- Myślę, że jeszcze dostanie pani swoją szansę. Bardzo wątpię to, że już na zawsze uwolniliśmy się od towarzystwa tej nimfy wiecznego snu, ofiarą której został nieszczęsny Rewer. A przy okazji, czemu ona go nie ruszyła? A nas też najpierw próbowała uśpić i dopiero gdy jej nie wyszło... Przed moimi oczami stanęła rycina z książki „Potwory”.

- Ponieważ I'inaiti nigdy nie zabija w okolicach swojego gniazda.



\* \* \*

Nawara potraktował moje stwierdzenie wyjątkowo sceptycznie.

- To ona jeszcze potrafi wić gniazda? Jak wrona? Mało tego, że straciłem cały dzień na wykopywaniu strzygi, to teraz proponuje mi pani spędzić noc na łożeniu po drzewach? Czy może raczej oddeleguje do wyrębu lasu?

- Jeszcze nic nie proponowałam. Może pan w ogóle zabierać się do domu.



Wybaczam panu.

- O nie, panno wiédźmo. Teraz moja kolej zatruwać pani życie.

- Westchnęłam.

- Lepiej by mi pan doradził coś sensownego.

- Na początek niech pani zgasi tę pochodnię. Księżyc jest jasny, a pani tylko zdradza, gdzie jesteśmy. A my z kolei przez to światło nie widzimy dalej niż na pięć łokci.

Posłusznie zanurzyłam pochodnię w zaspie, a ona zgasła z oburzonym sykiem. Nawara miał rację, oczy szybko przyzwyczyły się do księżycowego światła, które okazało się na tyle jaskrawe, że spokojnie szło dojrzeć ciemne plamy gniazd w koronach drzew.

- Myśli pani, że to jedno z nich?

- Najpewniej. Umie pan strzelać z łuku?

- Nie.

- To co z pana za rycerz?

- Jak sama nazwa wskazuje: rycerz, a nie wędrowny elf. Przy okazji, pani powinna posiadać znacznie bardziej destrukcyjną broń miotającą. Jak one się tam nazywają, pulsary czy jakoś tak? Takie świecące i wybuchające kulki, którymi przyjacielsko wymieniają się magowie bojowi, chowający się za plecami zawczasu przeznaczonej na ubój piechoty.

- Zwariował pan? Przecież tam śpią wrony! Proponuje pan, żebym żywcem usmażyła bogu ducha winne ptaki?!

- To co z pani za wiédźma?

- Nawaro, niech pan posłucha. Proszę się stąd zabierać. Jak pan słusznie zauważył i nie omieszkał zameldować każdej napotkanej osobie, ludzi cenię znacznie mniej od ptactwa.

Rycerz domyślił się, że przesadził, więc nieco spuścił z tonu.

- Panno wiédźmo, starczy już tej wymiany uprzejmości. Może ogłosimy chwilowe zawieszenie broni?

Mimo moich wyraźnie widocznych wad nie kopię leżących, szczególnie gdy przeciwnik wystawia na cios zupełnie inną część anatomii. Parę klapsów - to jak najbardziej, zawsze i z przyjemnością, ale bicie to jednak nie mój styl, jakoś niesolidnie.

- Nic panu nie wystawiam!

- Wszystko jeszcze przed panią.

- Co?

- Zna pani lepszy sposób, żebym podsadził ją na drzewo?

- Mnie?!

- A może ma pani lepszą propozycję?

W tym momencie odrobinę ochłonęłam. Faktycznie umiałam łączyć po drzewach, a do tego spora część gniazd mieściła się na cienkich gałęziach, które były zbyt delikatne, by wytrzymać słusznych gabarytów mężczyznę w nie mniej solidnej kolczudze.

- Nie. Ale nie dam rady sprawdzić dwudziestu brzóz.

- Wcale nie trzeba. Tam jest. - Nawara wskazał ręką dwie bliźniacze brzozy, wyrastające z jednego korzenia. Na jednej z nich, tej przechylającej się nad cmentarnym płotem, wisiły trzy gniazda. Na drugim za to - nie mniej niż dziesięć.

- Skąd ten pomysł?

- Wrony. Jeszcze za dnia zwróciłem uwagę, że starannie unikają pochylonej brzozy, a nawet od niej uciekają. Jak któraś podleci bliżej, to natychmiast zawraca.

- To pan, zamiast kopać, nic tylko wrony liczył? - nie mogłam powstrzymać się od szpilki.

- Gdyby pani niegasnący sarkazm był równy pani profesjonalizmowi, to nie musielibyśmy spędzać nocy w swoim niemiłym towarzystwie. Może jednak skorzysta pani z pulsara?

- Wejść tam - zdecydowałam. - Tak wyjdzie pewniej. Niech pan nadstawi pleców!

- Zgaduję, że lewitować pani też nie umie?

- W nocy?! Czy ja wyglądam na nekromantkę?

- A co pani w ogóle potrafi?

- Pisać pamiętniki - odparłam jadowicie i zaczęłam włączyć rycerzowi na plecy.

- Ostrożniej tam... czego pani tańczy jak górską koziczka?

- Ta pana kolczuga jest śliska.

- No to niech pani przejdzie na ramiona, wyprostuję się! Och...

- Co się stało?

- Krzyż.

- Zasłużył pan!

- Ależ ty wredna! Przejdź na moje dłonie.

- A ty zostaw w spokoju mój... biodra.

Fakt, że brzoza była pochylona, bardzo mi pomógł i po dotarciu na gałęzie złapałam wiatr w żagle.

Pierwsze gniazdo okazało się puste, tylko na dnie leżał odłamek skorupy. Dwa pozostałe znajdowały się na samym czubku, prawie obok siebie. Spojrzałam w dół. Tyle dobrego, że ciemno i nie tak bardzo widać wysokość.

Zebrałam się w sobie i ruszyłam dalej w trudną drogę do wierzchołka. Wiatr,

istnienia którego nawet nie podejrzewałam, w skupieniu i bez przerwy kreślił czubkiem drzewa idealną literę „O”. Ciekawe, jak wronie jaja wytrzymują taką wirówkę?

Gniazda były już na wyciągnięcie ręki, gdy l'inaiti przypomniała sobie o powinności macierzyńskiej i jak rozwścieczona furia wystrzeliła z kłębu jemioly na drugim brzozowym pniu. Uderzenia skrzydeł i trzask pękających gałęzi akurat uprzedziły mnie o ataku. Zdążyłam przytulić się do pnia, a harpia z impetem przefrunęła tuż nad moimi plecami, szorując pazurami po kurtce. Efektownie wykonała skręt na tle księżyca, po czym ponowiła próbę. Tym razem użyłam pewnego środka - wrzasnęłam jej w samą paszczę, próbując złapać możliwie wysoką nutę. l'inaiti odrzuciło na bok, Nawara zakrył uszy, a we wsi rozszczękały się psy.

Wygrane sekundy zdecydowały o losach pojedynku. Usiadłam okrakiem na najbliższej gałęzi, uwolniłam jedną rękę i przygotowałam się do trzeciego przelotu harpii.

l'inaiti zmieniła się w płonący kłębek, wykonała piruet w powietrzu, spadła na ziemię i z mojego niepewnego siedziska jeszcze przez dłuższą chwilę widziałam ją jako jaskrawą kropkę. Jak zaczarowana śledziłam płomyk, póki nie zgasł, a następnie ruszyłam dalej, do góry.

Kiedy w końcu dotarłam do gniazd, przekonałam się, że Nawara miał rację. W lewym leżał wroni szkielet, a w prawym - trzy ciemne kule regularnego kształtu, każda wielkości mojej pięści. Gdy tylko wyciągnęłam rękę w ich kierunku, największe „jajo” pękło, po czym, jak ślimak ze skorupy, wypęzła z niego nieforemna ameboidalna masa. Nie czekałam na pojawienie się jej braciszków i siostrzyczek i zepchnęłam gniazdo w dół. Już w locie zapaliło się i sypnęło skrami, trafione bojowym pulsarem.

- Wprost w oczko! - doleciał mnie aprobujący okrzyk. - Panno wiedźmo, jednak jest dla pani jakaś nadzieja!

- Ha. Jeszcze mnie pan nie wi...

Próba wymacania nogą dolnej gałęzi zakończyła się fiaskiem, a oparcie dla rąk okazało się niewystarczające, w związku z czym poleciałam w dół jak kamień.

\*\*\*

Wydawało mi się, że lot trwał wieki, aż w końcu dosyć mocno uderzyłam plecami o coś twardego i zrozumiałam, że mogę otworzyć oczy. Nawara nadal ścisnął mnie w rękach, nawet leżąc na plecach w zaspie.

- Dobrze pan łapie, panie rycerzu.

- Dobrze pani spada, panno wiedźmo. Może jednak wstanie pani ze swojego

pokornego sługi?

- Dziękuję.

- Nie przesłyszałem się przypadkiem? Dziękowała mi pani?! Czy to kolejny objaw pani osobliwego poczucia humoru?

Niezgrabnie stanęłam na nogach, masując obolały łokieć.

- Nawaro, pan nawet podziękowań nie umie przyjąć jak człowiek. Dusi pan w zarodku

najszlachetniejszy nawet zamiar.

-I to mówi wiedźma, która dla zabawy zrobiła ze mnie idiotę przed całą wsią?

- Jeszcze nie zrobiłam.

- Czyżby? - sceptycznie mruknął Nawara.

- Ano. Nadal mamy czas wymyśleć mrozącą krew w żyłach historię o odkopanej strzydze, panięńskich łzach, odważnym rycerzu i potężnej wiedźmie, A potem z czystym sumieniem podzielić między siebie obiecane dwadzieścia kładni.

- Panno wiedźmo, jeżeli myśli pani, że tak mizerną sumą kupi moje przebaczenie, to naprawdę głęboko się pani myli - z pogardliwą wyższością orzekł rycerz.

Ale pieniądze wziął.

\* \* \*

O dziwo, cała historia nie spowodowała żadnych represji ze strony Nawary. Od tej pory zdarzyło nam się wielokrotnie, ale zawsze przypadkowo, spotkać we wsiach i na traktach. Wymienialiśmy uprzejme skinienia głowy oraz kilka nic nieznaczących słów i rozchodziliśmy się w różne strony, nie opowiadając o tym drugim ani dobrych, ani złych rzeczy.

Koniec końców niektórzy ludzie tracą całe życie na znalezienie godnego przeciwnika.

Fakt istnienia tego drugiego sprawiał każdemu z nas niewysłowioną przyjemność.

*Przełożyła Marina Makarewska*

## Piwowyje

Nad południową łąką rozlewał się mdły aromat białej koniczyny. Niebo, obleczone przez nieśpiesznie płynące obłoki, z rzadka błyskało słonecznym promieniem, biegającym na wyścigi z cieniem. Burza przeszła bokiem, błysnęła tylko błyskawicami na horyzoncie i huknęła piorunem na spokojne ptaki. Ź jej niedoszłej wizycie przypominał nienaturalnie silny i cierpki zapach oszukanych w oczekiwaniu łąkowych kwiatów, zmęczonych wielodniowym upałem.

Położywszy się na wznak na ciepłej ziemi, zasłoniłam twarz ręką, zamknęłam oczy i rozkoszowałam się bezruchem pośrodku koniczynowego jeziora znajdującego się czterdzieści łokci od traktu. Po tej stronie drogi koniczyna ziała się w jednolity kobierzec z rzadkimi wstawkami małych krzaczastych krwawników - idealny postój dla zmęczonej delegacji, ale pasły się tam już czyjeś krowy pobrzękujące dzwoneczkami na szyjach. Nie miałam nic przeciwko sąsiedztwu dwójki - trójki krów, ale nie wiedziałam, jak zareaguje na moje rude włosy potężny czarny byk, stojący na czele małego stadka. W końcu, po bratersku podzieliliśmy to idealne pole i w pełnej harmonii ze światem oddawaliśmy się zasłużonemu odpoczynkowi przy akompaniamencie trelu skowronka, trzasków koników polnych i rzadkich postukiwań kopyt mojej szkapy, delektującej się koniczyną. Trakt milczał. On doskonale to rozumiał: zaczęło się lato – najlepszy czas. Właściciel pól i ziem ornych pracowicie piele i orze, albo po prostu odpoczywa w cieniu, pociągając kwas z dzbana z kory brzozonej narzekając: “ Kiedy wreszcie skończy się ten przekłety upał! ”, a kupiec doskonale rozumie, że do zbiorów z wieśniaka nawet miedziaka nie wyciągnie, chociażby nawet to był i dług.

Jednak ktoś przez trakt jeździł, więc kiedy w oddali rozległo się skrzypienie kół, bynajmniej się nie zdziwiłam, tylko jeszcze wygodniej położyłam na plecach. Skrzypienie zbliżyło się, zrównało ze mną, trochę oddaliło i urwało donośnym “ prr! ” oraz głośnym prychaniem konia. Skrzywiłam się, kiedy zrozumiałam, że ubrane w łapcie stopy przesuwają właściciela w moim kierunku. Podchodząc na odległość siedmiu łokci, mieszkaniec wsi w niezdecydowaniu zatrzymał się przestępując z nogi na nogę i szarpiąc bat. “ Porażka! ” - z przykrością przyszła mi do głowy myśl, ale nie chciałam wzmacniać myśli odpowiednim zakłębieniem. Wieśniak delikatnie zakasłał.

- No? - pochmurnie i nieprzyjaźnie spytałam, oczekując, aż kaszel przejdzie w ostatnie stadium bronchitu.

- Pani wież ... eeee ... czarownico!

Wieśniak zorientował się, że nie mam zamiaru otwierać oczu bez ważnej przyczyny, za którą on, bezwarunkowo się uważał.

- Robota jest. - bez niedomówień chrząknął.

- No to się nią zajmij - niegrzecznie mruknęłam w odpowiedzi. – Czego facet chcesz? Nie jestem łąkową mawką, trzech życzeń za życie nie robię, mogę tylko posłać sam wiesz gdzie, a nuż się wam tam poszczęści ... Wieśniak, dziwne, nie obraził się ale jakoś podejrzliwie ożywił.

- Ń jeśli zapłacę sprawiedliwie? - z nadzieją zapytał, podchodząc bliżej.

- Eh ha ha ehh ... - pogardliwie westchnęłam, gdyż chłop, który ma gotówkę w lecie jest jak komar zimą.

- Należności w ziemniakach i kiszonej kapuście nie biorę. Kielbasy także nie proponujcie. Nie uznaje naturalnych wymian.

- Dlaczego w ziemniakach? - lekko obraził się mieszkaniec wsi. - Pieniadze!

Moja pamięć przechowywała tysiące zakłęb, ale najefektywniejsze było, jest i będzie słowo “ pieniądze ”. Ono wskrzesza martwych, uzdrowia żywych i jest najsilniejszą odtrutką na kategoryczne “ nie ma ”. Zabrałam rękę z czoła, uchyliłam się i łypnęłam na wieśniaka lewym okiem. Wbrew oczekiwaniom chłop był dobrze ubrany, ale szczególnie - nowa czerwona koszula w zielone groszki, spodnie w zielone wzorki bez łąt, śnieżnobiałe skarpety i całkiem nowe mocne łąpacie. I to w roboczy dzień! Na kupca nie wygląda, na egzekutora podatków też nie. Oto zagadka. Usiadłam i objąwszy rękoma kolana, wyczekująco utkwiałam wzrok w facecie:

- Trzy pytania: jaka praca i jakie pieniądze?

- Ń trzecie? - nieśmiało zająknął się mieszkaniec wsi.

- Po czym poznałeś, że jestem wiedźmą? - Słowo “ czarownica ” nie podobało mi się najbardziej.

- A tak ... to ... - Mężczyzna spuścił oczy. - Wygląd u was, pani, bardzo czarodziejski - włosy rude, amulety wszelakie, koń demon wstrętny, świństwo niesamowite, zachowajcie mnie bogowie ... Smółka podniosła głowę i przepaliła mieszkańca wsi śmiercionośnym spojrzeniem żółtych węzowych oczu z pionowymi źrenicami.

- Ń jeszcze - ośmielił się facet - widział mój robotnik, Grinka, jak wasza czarodziejska wysokość zakłębiami strasznymi chmurę burzową razem z błyskawicami na zachód odesłała. - Ty co, pretensje masz? - nachmurzyłam się.

-Nie - pospiesznie poprawił się facet. – Nam to ... na ziemi nie siedzimy, do deszczu nic nie mamy, niech sobie idzie drugą stroną, tak to nawet spokojniej - nie potrzeba godziny, by szalona błyskawica w fabryczkę uderzyła.

Wieśniak, któremu w szczyt letniego upału przeszkodziłby deszczyk? To coś

nowego.

- Wam - to znaczy komu? - spytałam.

- No, warokczanom – nieco zdziwiony wyjaśnił autochton jak gdybym spytała go o coś znane nawet przez pięcioletnie dziecko. – Wieś nasza Warokcza się zwie, słyszeli, może?

- Řa, wy piwo warzycie? - zorientowałam się. Wszystko jasne, skąd u niego pieniądze. - No i co?

- Jak - co? - zmieszał się mieszkaniec wsi.

- Co ode mnie chcesz? - wytrwale przypominałam. –I jakie będę mieć z tego korzyści?

- Ř ... to ... - Wieśniak potarł wierzchołek głowy. - Robota jest ...

-Jaka?!

- No robota ... Leszy wie jaka ...

No to skonsultujecie się z nim i przyjdźcie z powrotem.

Wyrwana z objęć słodkiej senności, irytowałam się o każdą drobnostkę.

- Bez was nic nie zrobimy! - zaczął błagać mieszkaniec wsi. - No pani wiédźmo, pojedzie pani ze mną! Co trudnego w tym? To niedaleko! Ona, wioseczka, za tym laskiem stoi!

- Jeszcze czego - pogardliwie prychnęłam. – Póki nie wytłumaczycie, w czym sprawa, z miejsca się nie ruszę.

- A co tam tłumaczyć, patrzeć trzeba! – szybko oświadczył facet. - No chociaż coś powiedzcie.

Coraz bardziej byłam zaciekawiona.

- Sąsiad po nocach do księżycy wyje? Nr cmentarzu niespokojnie? Zachorował ktoś? Zaginał? Albo po prostu na piękną nieprzystępną dziewicę oko zawiesił? Wybacz - jak zawiesił, to sam będziesz zdejmować. Miłosnymi napojami nie handluję. Truciznami - także. Ęęę zaproponować środek na zlikwidowanie pryszczu.

- Szkodnik jakiś jest - mruknął facet. - Ř co, kto - borowy wie. Dlatego trzeba zobaczyć, a nie sypać solą w oczy.

Już obudziłam się doszczętnie, przeszłam w swój normalny pogodny stan i przepuściłam mimo uszu gburowatą uwagę rozmówcy.

- Od tego trzeba było zaczynać. Dobra, pojedę. Rzucę okiem na waszego szkodnika.

Brodąta twarz mieszkańca wsi rozplýnęła się w szczerbatym uśmiechu, szybko włożył czapkę pod pachę i podał mi rękę pomagając wstać z ziemi. Mocny, kwaskowaty zapach piwnej beczki wisiał nad wsią, jak oddech zielonego smoka, który ozdabiał warzelnie piwa. Niedaleko wesoło dymił komin fabryczny. Wieśniak, którego, wyjaśniło się po drodze, wołali Browykiem,

przyhamował u wejścia i gorączkowo obiegnął wóz, żeby pomóc mi przeleźć przez krawędź. Zostawiwszy wóz i Smólkę pod opieką znalezionej podczas snu koniuszego, weszliśmy do piwiarni, która ze względu na wczesną porę nie była obleżona narodem. Browyk zauważył tu jakiegoś znajomego i z radosnym okrzykiem polazł się z nim obejmować, po czym przedstawił mi go jako Kolota, swojego przyrodniego brata i towarzysza.

Kolot okazał się zręczniejszym i lepszym chłopakiem. Błyskając chytrymi czarnymi oczami spod czapki zadziornych kędziorów, rozplątał się w komplementach, pocałował mi rękę, szarmancko zaprowadził do stolika naprzeciw okna i grzecznie odsunął krzesło, żebym mogła usiąść. Nr jego tle przyrodni brat wyglądał na niezgrabnego niedźwiedzia obok eleganckiego lisa. Z ciekawością rozejrzałam się po otoczeniu. Piwiarnia wyglądała bardzo przyzwoicie - jasna, czysta, z rzeźbionymi stolikami i ściennymi karykaturami z powtarzającym się tematem: faceci pijący piwo. Wszystkie obrazki zostały zaopatrzone w niezgrabne podpisy w rodzaju: " Pij piwo od ranka jeśli nie dopieś wczoraj, a kto dopił wczoraj, niech pije od ranka ".

- Piwa pani wiedźmie! - wrzasnął Kolot, uderzywszy w dłoń.

- I nie tylko jej! - pośpiesznie dodał Browyk. - Wszystkim po jasnym!

- Dla mnie nie trzeba! - stanowczo zaoponowałam. Piwa nie znoszę. Jak ktoś w ogóle może pić tą gorzką, zalatującą kwaśnym domowym piwem ciecz koloru ... hm ... wiadomo. Ale mój protest nie został odebrany na poważnie. Nr stole pojawiło się pięć wysokich kufli browara z puszystymi żółtym czapkami gęstej piany. Do napoju podali tradycyjną zakąskę: kurze skrzydełka, zapieczone w cieście i biały ostry sos. Ęoi nowi znajomi chciwie przylepili się do najdroższych naczyń.

- Ech, dobre! - oświadczył Kolot dwadzieścia sekund później, odstawiając próżny kubek i wycierając okryte pianą wargi. - Udało się piwko, nie ma co!

- A jak - potwierdził Browyk, oblizując się i wyciągając rękę po skrzydełko.

- Pijcie, pani wiedźmo, nie bójcie się. Dobre piwo, na starych recepturach warzone, jeszcze pradziad mój takie do królewskiego dworu woził. "Szmieł " zwie się, składa się z dziesięciu ziół i miodem lipowym przyprawione.

Nieśmiało upiłam z kubka ... Ęj ... dopiero teraz zrozumiałam, że ciecz, którą podają w stołecznych knajpach, nie warta jest nawet stać w jednej piwnicy z tą ambrozją! Lekkie, ostre, Piwo przez duże P, samo płynęło w gardło mieniąc się wszystkimi odcieniami smaku i zapachu - od podchmielonej goryczy do cierpkiej miodowej nalewki.

- No jak? - w jeden głos zainteresowali się bracia.

- Cudowne ... - z namaszczaniem wyszeptalam, z trudem odrywając się od kubka. - Przepiękne piwo. Po prostu zdumiewające. W ciągu całego życia nie



próbowałam nic bardziej podobnego. Piwiarze z aprobatą spojrzeli na siebie. Widocznie udało mi się sprawić na nich wrażenie specjalisty cieszącego się wielkim autorytetem..

- I tak, wracamy do naszych baranów, to jest szkodników – powiedziałam, delikatnie zagryzając skrzydełkiem.

- Dziwna sprawa, szanowna.

- Ŕ opowiedzieć? - chętnie odezwał się Kolot.

- Sami powiedzieliście: jakieś świństwo szkodzi w piwiarni.

- Őch szkodzi ... - smutno pokołysał głową Browyk.

- Kadzie wywraca - zaczął wyliczać Kolot, zaginając palce, - chmiel rozsypuje, zioła miesza, z garnków pokrywki zrywa i miód podjada ...

- W beczkach brudzi ... - nie w porę dodał Browyk.

Zakrztusiłam się rozchlapawszy piwo. Kolot uczynnie poklepał mnie po plecach.

- Wcześniej nie mogliście mi powiedzieć? - zachrypiałam z trudem złapawszy oddech. – I co? To tak w biały dzień ... w beczkę?

- Nie, jeno po nocach - pośpieszył z odpowiedzią Kolot. – W dzień jest tam dużo ludzi, on, znaczy się, namyśla wredoty i na zmrok czeka ...

- Ńo w czym problem? - roześmiałam się. – Zostawcie na noc wartownika!

Wieśniacy naraz zamilkli, spuścili głowę. - No ... to ... próbowaliśmy ... zostawiać kogoś ... - No i? - ponagliłam.

- To za ciężko dla naszego brata ...

- Pilnować?!

- Pilnować piwa i nie skosztować ... - smutno przyznał się Browyk. Ńu już śmiałam się z całej duszy.

- No, jeżeli to tylko to ... popilnuję waszą piwiarnię jedną nockę, jak już tu jestem.

- Larka! Jeszcze pięć ciemnego! - radośnie wrzasnął Kolot, niebezpiecznie pochylając się na lewo. Browka w porę złapał go za ramię i posadził równo.

- Őch, zdjeliście mi kamień z serca, pani wiedźmo, dlatego, że w naszej fabryczce finalizujemy duże zamówienie od króla, a przez tego szkodnika przekraczamy terminy. Czy go złapiecie czy zastraszycie to mnie nie obchodzi, byle by przestał szkodzić, a my będziemy wdzięczni.

- Wierzę na słowo - zauważyłam dopijając “ Szmiela ”. - Nie lubię chodzić jako kredytodawca.

- “ Herold ”, - z namaszczeniem ogłosił Kolot, kiedy w zamian za próżne kubki przed nami pojawiły się pełne. - Ciemne mocne piwo, całe co do kropli wysyłane jest za granicę, dostarczamy go aż do trzech państw. W stolicy takiego piwa inaczej niż za walutę nie dostaniesz. Dźwięcznie stuknęliśmy się, a po

drewnianych bokach kufli popłynęła piana. Coraz bardziej podobało mi się to pomieszczenie, nawet obrazki na ścianach już nie wydawały się takie koślawe - odwrotnie, nabrały sensu, głębokiego, zagadkowego i niepojętego, jak sam stan alkoholowego upicia. Za “ Heroldem ” przyszło “ Spienione ” i “ Zastojałe ”, po nich - “ Maść ”. Po “ Maści ” ludzie przy stoliku rozweselili się i bracia zaczęli zwracać się do mnie z jakiegoś powodu w mnogiej liczbie - “ panie wiedźmy ”.

- A te oto piwo ... - z płaczącym się językiem kontynuował Kolot, postukując palcem po krawędzi kubka, - jest najlepsze dla zdrowia, wszelką chorobę wy... ga! nia... lepiej od każdego zielarza ... Długo próbował złapać kubek za rączkę ale potem wpadł w rozpacz i zażądał jeszcze jednego, jak później wytłumaczył,” bardziej przyjaznego”. Ja tymczasem prowadziłam z Browykiem naukowo – teologiczną dyskusję publiczną o roli wiedźm w ekosystemie religii. Przy czym twierdziłam, że trzeba nas wszystkie utopić, a najlepiej - spalać na ogniskach z osikowych drewniek, i nawet proponowałam dokonać aktu samolikwidacji, Browyk ze łzami w oczach namawiał mnie, bym wzięła go na swojego ucznia. Z piwiarni wyszliśmy objawszy się i zygzakami podążyliśmy do fabryki, co chwila pytając o drogę i zstępując z niej. Po wielokrotnych próbach udało się nam w końcu określić, które z trzech drzwi prowadzi do naszego celu i jak postąpić ze strasznie skomplikowaną zasuwą by dostać się do środka. Potem bracia długo się kłócili kto ma pilnować, a ja zalotnie wymawiałam się i proponowałam rzucać losy.

Ostatnie, co pamiętam - to jak Kolot z Browykiem bezskutecznie próbowali przekonać mnie, że na zewnątrz te małe szaraki, w dużej ilości skaczące po ścianach i suficie pomieszczenia – to nie obskuranci, ale nieszkodliwe zajączki ... tak, właśnie zajączki. Potem zaśpiewaliśmy chórem: “ Ęj, w lesie szuwały kwitną ... ”, a następnie moi nowi śpiewający znajomi gdzieś sobie poszli, a ja zostałam, żeby pilnować mrakobiesów , inaczej jutro będzie źle...

Jutro wyjaśniło się, że po pierwsze, to pilnować powinnam była nie obskurantów, a szkodnika, po drugie – piwo jest najwyższego gatunku, bo nie pozostawiło ani kaca ani wspomnień minionego wieczoru. Ró po trzecie ... szkodnik nie uważał mnie za poważną przeszkodę. Akt wandalizmu był jak potwarz.

Chmiel równą warstwą pokrywał ziemię. Na ścianie miodem zmieszany z sadzą namalowana była dziko wyglądająca gęba, która powodowała niekontrolowany wybuch śmiechu. Kadzie z zakwasem zostały poukładane w bardzo wysoką budowlę aż pod sufit – jak połamana wieżyczka, do której bałam się nawet podejść. Na domiar tego - moje długie rude włosy zostały starannie zaplecione w setki kosmatych warkoczyków, przy czym zaplecione na amen i przywrócić je do poprzedniego stanu, zdaje się, już się nie dało - ktoś splótł je po

trzy włosy, potem - po dziewięć, następnie po osiemdziesiąt jeden i tak dalej. ...  
...do beczek nawet nie podeszłam ...

Kolot, Browyk i nieznamy łysy facet posępnie oglądali fabrykę. Ku mojemu wstydu i ich wychowaniu, nie powiedzieli nic do mnie, ani dotkliwym wyzwiskiem albo pełnym wyrzutem spojrzeniem, tylko smutno pokiwali głowami, oceniając poniesiony browarowi uszczerbek.

- Ó co ... - przerwał ciągnące się milczenie Browyk. - Znaczący, trzeba jeszcze jedną nockę popilnować, może na ten raz nie wyszło ...

Czując się winna kiwnęłam: - Oczywiście. Jak trzeba będzie – to i dwie popilnuję. I trzy. Tyle ile się powinno.

- Nie przeżywajcie aż tak, pani wiedzmo - spróbował pokrzepić mnie na duchu Kolot. – To nie pierwszyna. Pójdziemy lepiej piwo wypić - widzisz, słabnie ...

W tej chwili wieża z beczek z zakwasem runęła do naszych nóg, kwaśna fala popłynęła wzdłuż ścian do drzwi. Uparcie ściskając wargi, pokręciłam głową:

- Nie, dziękuję. Na razie się powstrzymam.

Kolot ze zrozumieniem kiwnął: - No to może do karczmy pójdziemy coś zjeść? Od wczoraj w ustach nie miałem nawet kropelki makowej rosy, więc się pospieszmy. A z głodnym żołądkiem nawet kociaka nie złapiesz nie mówiąc już o szkodniku.

Zgodziłam się na propozycję posiłku i razem z Kolotem poszliśmy do karczmy. Browyk i jego lisi towarzysze zaczęli dowodzić brygadą półsennych mężczyzn z mieczami i niewyraźnymi twarzami, ciągnąc ich do fabryki w celach wojowniczych lub smakowych.

Przy jedzeniu bardzo się rozgadaliśmy. Okazało się, że w przyrządzaniu piwa biorą udział dwie fabryki - jedna znajduje się trzy wiorsty stąd, w wiosce Kozie Tropy - tam kielkuje jęczmień, potem go wypalają, oddzielając kielki, a wszystko co pozostanie miela na papkę, którą wiozą do Warokczy, gdzie warzą piwo. Mimo tego Kozie Tropy słyną ze swoich jęczmiennych pól, pasiek i plantacji chmielu. Fabryka w Kozich Tropach należała do Kolota, a w Warokczy – do Browyka. Usłyszawszy o szkodniku, Kolot od razu przyjechał żeby spojrzeć, czy nie przyda się jego pomoc bratu, ale ten już znalazł ratunek w ślicznej, miłej, dobrej czarownicy (tu wstydliwie zakaszałam i sprowadziłam rozmowę na inny temat - podziękowałam za śniadanie i poprosiłam by odprowadzić mnie do fabryki).

Z trzeźwą głową stanowczo nie poznałam pomieszczenia, w którym spędziłam noc. Mówiąc wprost fabryczka wyglądała jak ogromna szopa bez strychu, zastawiona przez kotły, w których warzyło się piwo. Powarzony i fermentujący półprodukt rozlewano do beczek i chowano do nieogrzewanych

piwnic lub dwu albo trzymetrowych dołów. Wzdłuż ścian na jedną trzecią jej wysokości piętrzyły się worki z chmielem i mielonym jęczmieniem. Jak zrozumiałam, do nocy nie miałam tu nic do roboty, dlatego podziękowałam Kolotowi za wycieczkę, osiodłałam Smółkę i udałam się z nią powłóczyć po okolicach. Gołym okiem było widać, że wieś zamożna - całe dachy pokryte dachówką, świeżo osiekane zrąbana, rzeźbione obramowania. Nie zauważyłam ani jednej brudnej albo postrzępionej odzieży na spotkanych mieszkańcach wsi: praca w fabryce zapewniała ich rodzinom stały dochód.

Ale jeden domek wyróżniał się spośród wszystkich - chociażby dlatego, że domkiem nazwać go było trudno. Choroba - to dobre określenie. Szczególny okaz willi bez smaku, pomalowanej w jaskrawy prosiaczkowy kolor, z różnokolorowymi okienkami i płomienną dachówką. Drogie i kapryśne elfickie róże na obłożonych marmurem klombach sąsiadowały z niechlujnymi grządkami kopru. Golutki, raczej nieopierzony kogut dźwięcznie piał przy posągu nijakiej półnagiej panny bez nosa, stworzonej ni to do roli bogini miłości, ni to do ofiary syfilisu. Zatrzymałam się przy niewysokim ogrodzeniu, żeby nacieszyć swoje spojrzenie niedorzeczną budowlą. Smółka natychmiast zainteresowała się dekoracyjnym powojem, który oryginalnie oplatał sztachety, jednak kobyłka ograniczyła się tylko do wachania. Nie minęła minuta jak razem z konikiem zostałam ogłuszona dzikim wrzaskiem, grubego, łysego, nieprzyjemnego typu w długim aż do ziemi kaftanie i domowych pantoflach, który wyskoczył z domu, jak pies.

- Idź precz, włóczęgo! - krzyczał tryskając śliną. - Komu powiedziałem? Spadaj stąd! Po co tu łazisz, złodziejskie nasienie!

Rozstawiwszy nogi trochę szerzej, Smółka z całych sił pociągnęła zębami zielone pnącze. Płot zachwiał się od potężnego szarpnięcia. Nachalny typ odskoczył od ogrodzenia jak użądłony, jakby obawiając się, że runie ono na jego pierś.

- Natychmiast powstrzymajcie tego brzydala! - krzyknął, potrząsając kurczowo ściśniętymi pięściami. Naciągnęłam cugle, nie tyle z zaskoczenia przez ten psychiczny atak płotu, ile obawiając się o żołądek kobyły - patrząc na odporność klaczy, szkodliwość powoju mogła się równać z płotem

- Jedzcie stąd, póki nie wzywam pomocy! - wykrzyknął nieprzyjemny typ.

- Słuchajcie! - Przyjęłam tę ideę z autentycznym entuzjazmem. - E je jej, ludzie!

Na moje wołanie z krzaków bzu, rosnących przy wejściu do tego cudacznego budynku, wynurzyło się dwóch tęgich mieszkańców wsi, rudy i czarny, z całej siły pozujących na wspaniałych obrońców gospodarskiego dobra.

- Powiedzcie, proszę, czyj to dom? - grzecznie spytałam nie dając im czasu

na opamiętanie.

- No ... ta ... pana naszego ... - po krótkim zamieszaniu odpowiedział rudy.

- Oto oni własną osobą przed wami stoją, Lukomir Dobronraw ich wołają!

- Ń ja jestem wiedźmą - przedstawiłam się kokieteryjnie. - Wiecie, to takie szkodliwe i złe stworzenia, sprowadzają chorobę, kradną dzieci, zamieniają przyzwoitych obywateli w ropuchy i trują końmi cudze fabryki. Dobronraw, mówicie? Nie kojarzę. Ale co tam, bardzo, bardzo mi przyjemnie zapoznać się ...

Mężczyznom od razu odechciało się mieć ze mną do czynienia. Po znajdującej się z brzegu mierze(?), ściągnęli czapki i wycofali się spod płotu zostawiając swojemu panu załatwienie konfliktu. - Ńch, to ta śliczna kobieta - wiedźma? - Lukomir rozpląnął się w fałszywie ckliwym uśmiechu. - Dlaczego od razu nie powiedzieliście? Mogliśmy uniknąć tego małego nieporozumienia. Jedz, koniku, jedz ...

Ale Smółka już straciła zainteresowanie powojem, obwąchawszy płot, i odgryzła wierzchołek sztachety chrupiąc go jak dziecko cukierek. Opanowania Lukomira można było tylko pozazdrościć.

-Czy nie zgodzi się pani wiedźma, by nakarmić ją innym jedzeniem? - zaproponował robiąc minę, jakby święcie wierzył, że ukochanym przysmakiem koni są wierzbowe witki.

- Dziękuję, jestem już po obiedzie – wpadając w ton, odpowiedziałam.

- Nawet kawki nie raczycie?

- Nie, nie raczę.

- A posiedzieć i pogadać w przyjemnym towarzystwie?

- Kiedy pani wiedźma znajdzie miłą kompanię, to jak najszybciej was powiadomi – z wyszukaną uprzejmością zawarczałam.

- I na długo pani wiedźma się tutaj zatrzyma ?

- Ile będzie trzeba.

- A może będzie tutaj pracować? – podązał rozwijać myśl Lukomir.

- Może – dobrodusznie odpowiedziałam, sama wpadając w pułapkę.

- A wy wiecie, kogo Jego Wysokość Naum Pierwszy upoważnił do zbierania podatków z tych, jak pozwoliliście sobie pożartować, przyzwoitych mieszkańców tej wioszczki? – triumfująco zakończył Lukomir.

- Ciekawe. - Oślepiając się uśmiechnęłam. – Naprawdę, was?!

Rozmówca kiwnął, pojedynek na nieszczere uśmiechy osiągnął apogeum.

- Jedna maaaała pomyłka, panie Dobronraw. – uśmiechnęłam się jeszcze bardziej a moje oczy zapłonęły żółtym ogniem, skrywając źrenice. – Ja nie jestem przyzwoitą obywatelką. I za bardzo cenię sobie ten status, żeby zniżyć się do płacenia podatków... jeszcze takiemu złodziejowi jak.

- W takim przypadku – Lukomir także nie stracił uśmiešku, co samo w sobie było złym znakiem, jeszcze śmieiej wychodząc naprzód, jakby chciał wyznać mi płomienne uczucie. -Będę musiał - z ogromnym żalem - będę musiał zawiadomić o pani złym zachowaniu Konwent Magów, który, bez wątpienia, ma na was jakiś wpływ. Ciekawe czy wpadnie w entuzjazm, dowiedziawszy się, że jego niepokorne dziecko uchyla się od świętego obywatelskiego obowiązku – płacenia podatków. Pewnie was wyrzucą...

- Dobra, dobra. – Walnęłam dłonią w kolano. – Ile chcecie?

- A ile otrzymacie? – Nie tak prosto było go zwieść.

- Jeszcze tego nie uzgodniłsiemy.

- A trzeba – znowu zaczął się uśmiechać tak, że mróz poszczypał mnie po skórze - zważcie, że cena się podwoi, żeby nie została w nakładzie.

- Jakoś – pogardliwie ogryzłam się. –To wszystko, co chcieliście mi powiedzieć?

- Absolutnie wszystko, moja piękności – ten łajdak szczerze śmiał mi się w twarz! – Jestem bardzo szczęśliwy, że zrozumieliśmy się nawzajem.

- Nie jestem pewna, czy u was jest powód do radości – dobitnie stwierdziłam, ściskając boki Smółki obcasami.

Resztę dnia poświęciłam włosom. Tam gdzie porażkę odniosły zaklęcia, świetnie poradził sobie rzepakowy olejek – natarte nim warkoczyki rozplątywałam i rozczesywałam. Nie bez trudu, a włosy smutno obwisły, ale jak twierdziła ludowa medycyna, dziękczynne działania olejku na włosy powinno je wzmocnić, dodać blasku i nadać strukturę jedwabiu.

“We wszystkim można znaleźć dobre strony ” – filozoficznie stwierdziłam, kiedy ciepła woda w dzbanku się skończyła, a olejek na włosach – jeszcze nie.

Podsuszwszy włosy, oddałam służącej mokry ręcznik i zawołałam cierpliwe czekającego Browyka.

- Tak, pani wiedźmo? – ochoczo się odezwał.

- Kto to Lukomir? Co, to naprawdę królewski egzekutor podatków?

Piwowar zauważalnie pomrocniął.

- On jest... Nie wiem jak to powiedzieć, kto jego, krwio pijcę, upełnomocnił do równania swej kieszeni z królem. Jednego czasu przydusił podatkami i mnie z Kolotem, pracowaliśmy na darmo, musieliśmy fabrykę założyć, ledwie po świecie się nie rozeszliśmy, ale traf nas uratował – przyjechała do nas przypadkiem królewska delegacja, zatrzymując się w Warokczy na nocleg. Ugościliśmy ich jak trzeba...trzy dni tu odpoczywali, wszystkie beczki z piwnic wytaszczyli – jak pić to pić. R na czwarty dzień dostaliśmy od samego króla całkowite i wszelkie wyzwolenia od podatków z zastrzeżeniem, że co rok, bezpłatnie, będziemy przywozić na dwór dziesięć beczek piwa.

- Czym bardzo rozgniewaliście Lukomira, który postanowił wyżyć się na biednej wiedźmie - dokończyłam.

Taa, jest źle. Groźby szantażysty nie były pustymi słowami. Posiadał on wystarczającą władzę, żeby jego skarga nie wylądowała w koszu na śmieci.

-Jasne. Browyk, potrzebuję od was... świec woskowych – siedem sztuk, powrozu konopnego – siedem łokci i płócienny worek na... ach, no tak, całkiem zapomniałam. Wiaderko ze śmietaną.

Wieśniak wytrzeszczył oczy:

- To wszystko? A jakiej śmietany potrzebujecie? Niedźwiedzia, psia albo... ludzka?

Roześmiałam się z duszy:

- Ech, panie, wy za bardzo nasłuchaliście się babcinych bajek o wiedźmach. Nie, potrzebuje zwykłej śmietany - krowiej, może być i kozia, nawet nie całkiem świeża, byle tylko nie bardzo spleśniała.

Wieśniak z zakłopotaniem potarł głowę:

- Jakie u was pytania... wychodzi, że wiecie, na co idziecie, już specjalną broń przygotowaliście?

Wzruszyłam ramionami.

Gdyby nie pięć kufla piwa, pierwsza noc w fabryce minęła by mi na czytaniu zaklęć i obchodzie budynku z amuletami. No, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, rozwiązałam sprawę włosów, co pozwoliło mi na ocenienie skali wredności szkodnika. Oczywiście, człowiek nie ma takiej siły. Ale drobny bies albo zwykła sił nieczysta – czemu nie. Ostatnio te szkodniki rozmnożyły się w niewiarygodnym tempie i najwyraźniej przeniosły się z lasów do siedzib ludzkich na zimę, lecz nigdy nie wolno nazywać ich „domowymi”.

- To dawajcie, uzgodnimy zapłatę – ciągnął chłop. – Ile chcecie za swoje wiedźmińskie usługi? Srebro, czy też i miedź ujdzie?

- Obojętnie... A można w naturze? - poprosiłam.

- Ale przecież mówiliście... - zmieształ się Browyk - ani kartofli, ani kiszonej kapusty... Nie martwcie się pani wiedźmo, nie jesteśmy biednymi ludźmi – pieniądze mamy, powiedzcie ile potrzeba – mogę płacić częściami. Nawet teraz mogę dać połowę - widzę, jesteś obiecującym człowiekiem, dobrym czarownikiem - nie ci głupole, co zęby smoka na naszyjnikach na pokaz noszą, a żywego smoka w życiu nie widzieli...

- Widziałam prawdziwego smoka - uśmiechnęłam się. – Ale mam wątpliwości, czy zostalibyśmy dobrymi przyjaciółmi, bo wybiłam mu ząb. Nie, szanowny panie Browyk, tu nie chodzi o nieśmiałość, a o wzajemne korzyści. Zrobimy tak: dacie mi za robotę worek tego, czego sama będę chciała zabrać z fabryki. Dobra?

Browyk zamyślił się na długo, widocznie próbował sobie przypomnieć, czy pod podłogą nie schował skarbu ze złota.

- Przecież tam jest tylko chmiel i słód... - z zakłopotaniem stwierdził basem, pocierając głowę.

- Więc czym się martwicie?

- Niezręcznie mi po prostu... Chcę się wam odwdziżyć po ludzku, żeby się nikt nie obraził...

- No co wy, szanowny panie Browyk, żadnych obraźliwych rzeczy nie będzie - upewniłam wieśniaka, uśmiechając się do swoich myśli. - Przeciwnie – będzie w sam raz. Na rękę?

- No, jak powiedzieliście, tak będzie – wzruszył ramionami piwowar, z ufnością wyciągając ku mnie rękę.

Niektórzy postrzegają magię jako ścieżkę dla wybranych, inni – jako ścieżkę zła.

Dla jednego to niepojęty cud, dla drugiego – surowa nauka z zasad i własnych wniosków.

Dla mnie to tylko robota, ciężka i nudna, ale potrzebna i ciekawa.

Związałam ze sobą końce liny, ułożyłam z niej koło na ziemi i przygwoździłam ją do podłoża świecami. Na wyciągnięcie ręki postawiłam spodeczek ze śmietaną (nie wytrzymałam i spróbowałam... Ech... dobra śmietanka! Ciekawe czy dostoi do odpowiedniego czasu?), uklękłam wewnątrz kręgu i pstryknęłam palcami, zapalając knoty świec.

Zastygłam, krzyżując ręce na piersi.

We wsi wyły psy. Ktoś nie starając się skradać i ciężko stawiając kroki zbliżał się do drzwi. Skrzypnęła zasuwka, a potem zaczepka.

- Pani wieźmo? – Do pomieszczenia wsunęła się kudłata głowa Kolota. - Pani wieźmo, gdzie jesteście? Jeść wam przyniosłem, nocą ludzie często chcą coś przegryźć...

Jego spojrzenie prześlizgnęło się po pomieszczeniu, nawet mnie nie zauważając.

- Wyszła gdzieś – stwierdził wieśniak, zamykając drzwi.

Uśmiechnęłam się zadowolona. Zaklęcie działało jak trzeba.

Czy uda mi się zwabić zwierzę, które pewnie jest rozumne?

Psy nie milkły – najwidoczniej, wyczuwały lisa, skradającego się do kurnika, albo w jakiejś chatce, za zamkniętymi okiennicami ktoś zmieniał się z człowieka w wilkołaka. Gdybym miała więcej czasu... i mniej znajomych takich jak Lukomir, zostałabym w Warokczy jeszcze parę dni. Naprawdę ciekawa miejscina. Tutejsze powietrze było przesiąknięte czarami - nie nekromanckimi, nie białą magią, a jakimś zagadkowym, wyrozumiałym i dobrodusznym, ale



zaświatowym duchem, który chciwie wpatrywał się w krąg. Ich, nie tam trzeba było patrzeć... przypadkowo rzuciwszy spojrzenie na miskę bezdźwięcznie jęknęłam. Śmietany zostało niewiele na dnie, a i ta ubywała z katastrofalną szybkością, jakby rozpływając się w powietrzu. Magowie mają żartobliwe przysłowie: nie złapany - nie mrakobies. Póki nie dotknąłeś mrakobiesa on jest dla ciebie niewidoczny - jeżeli sam tego chce. Przymierzywszy się, wyrzuciłam prawą rękę z terytorium koła i na chybił trafił złapałam domownika. Nie wiem, kto przestraszył się bardziej - ja, która zrobiłam się widoczna przy naruszeniu granicy koła... czy istota, na którą nietykalność odważyłam się czyhać. W odróżnieniu od żywych ludzi, rozmiar i zewnętrzny wygląd sił nieczystych zależy nie od wieku, a od siły, którą posiadają w naszym świecie. Topielec (? - tak to się tłumaczy, a przecież nie topi a zagryza....) rośnie z każdą zagryzioną przez niego ofiarą, upiór zyskuje nowe ciało, a szyszymora zdobywa zdolność długiego obywania się bez wody i krótkich wypadów łupieszczych na ląd. Nie wszystkie stworzenia mają potrzebę zagryzienia, wykrwawienia lub rozerwania na drobne kawałki. Leszy, na przykład żywi się ludzkim przerażeniem, czasowy zapłot - rozpaczą, a duchowi domowemu wystarczy, jeśli poczuje się gospodarzem domostwa, żeby wzmocnić się i urosnąć na naszych oczach. Nieraz polowałam na te ostatnie i wiedziałam, że mogą osiągać rozmiary trzymiesięcznego jagnięcia. Dlatego, po raz pierwszy w życiu zobaczywszy w rękach masywną dolną część grzywy stworzenia wielkości dorodnego wilka, byłam, lekko powiedzieć, zdziwiona. Wyobraźcie sobie - znaleźliście w pułapce na myszy dorodnego szczura - bez trudu możecie mnie zrozumieć. Na szczęście, szusz - którym był owy bies - to roślinożerna istota, nieszkodliwa, jeśli jest lękliwa. Zawywszy z przerażenia, zerwał się z miejsca i zaczął biegać po fabryce, nie szukając drogi ucieczki, owładnięty jednym pragnieniem : uratować swoją wspaniałą czarną skórę. Od niespodzianki moja ręka opadła z szyi, prześlizgnęła się po gładkim grzbiecie i zatrzymała na koniuszku ogona domowego piwnego szkodnika. Świetnie rozumiejąc, że za drugim razem tak go łatwo nie schwytam, wpiłam się w jego ogon zabójczym chwytem. Był to nienajlepszy pomysł. Szusz, jak wszystkie mrakobiesy, nie zauważają różnicy między górą a dołem, tak więc często sobie zwisają do góry nogami. Ale to nie wszystko - wylatując z koła, zaplątałam się nogą w linę i teraz mknął za mną krąg dawnych świeczek, przyklejonych do liny ciepłym woskiem. Przekłęty bies ciągnął mnie przez całą podłogę, wytarł pajęczynę z sufitu, rozwalił kilka ław i jakieś rzeczy z półek. Wszystko naokoło wirowało i latało przed oczami, dzwoniło, huczało i nikło w drzazgach i okruszkach. Wydawało się, że ten zwariowany bieg nie będzie miał końca. Kołysząc się na ogonie nieobliczalnego ducha domowego, bardzo trudno zorientować się co dzieje się wokół, a tym

bardziej spleść zakłęcie, więc zostało mi tylko zamknąć oczy i modlić się, żeby ta najgłupsza historia mojego życia jak najszybciej skończyła się nie stając haniebnym punktem w moim życiorysie ...

... Pomocnik Browyka, dwunastoletni Grinka, nie spał tej nocy. Jak tylko pobożne mamrotanie babki uwielbiającej noc, zastąpiło nie mniej przyjazne chrapanie, koziołkując, stoczył się z łóżka i wyskoczył przez okno nie ufając skrzypiącym drzwiom. Bardzo chciał zobaczyć, jak wiedźma będzie łapać tego szkodnika w warzelnii. Pod oknem Grinki siedział Kodka, najlepszy przyjaciel i zaraza większa niż obecna w fabryce.

- Szybciej, pójdźmy do wiedźmy! - szepnął Eńdka, kiedy chłopcy na wyścigi pędzili do wytwórni. – Napoimy ją piwem za darmo i będzie spała całą noc, a rano powie, że za dużo się naczarowała i zmęczyła tak, aż upadła nieprzytomna i dopiero o świcie się ocknęła. – Dawaj, jakieś świństwo jej zrobimy? - zaproponował Grinka.

- E tam! Wymażemy jej całą mordę dziegiem, jak będzie spać i jeszcze piór na to nasypiemy. Ale rano będzie wesoło!

- Skąd weźmiemy pióra i dziegiu? - westchnął chłopak.

- Ale wydziwiasz! Pióra już wyciągnąłem z poduszki ciotki. Ř dziegiu weźmiemy z wiaderka, które tam stoi.

- No to dajesz! - zachwycił się Grinka.

- Řha! - z powagą odezwał się Kodka. Chichocząc, chłopcy uchylili drzwi, wsunęli za nie swoje chytre umorusane mordki ... i zdrętwieli. Ę matko!

Ń, co zobaczyli, na zawsze zostawiło niezatarty ślad w ich dziecięcym umyśle. Gdyby przyśnił im się taki koszmar w ciepłe własnej chaty, to oblewając się zimnym potem, pobiegliby schować się do mamy pod kołdrę! Wiedźma, wyjąc i rzucając się, jak ten borowy, pędziła po suficie i ścianach w otocze z jaskrawego ognia! Chłopaczki chórem zaczęli przeraźliwie krzyżeć, odwrócili się i uciekli, popędzani przez gwizd wiatru w uszach. Nigdy później nie śmiali się z wiedźm. I mówili nawet o nich z należnym szacunkiem i rozwagą ...

... Szusz zaczął się męczyć. Jego ruchy spowalniały, szarpnięcia osłabły, ledwo co nie upadając na podłogę. Leżeliśmy obok siebie, z nienawiścią patrząc nawzajem sobie w oczy i ciężko dysząc. Nadal nie wypuszczałam z rąk kosmatego ogona, który niespodziewanie zaczął topić się w mojej dłoni – szusz stracił nadzieję i zamierzał przybrać swój prawdziwy wygląd. Klnąc i pocierając wolną ręką zranione miejsca, uklęknęłam na kolana, bez wysiłku przytrzymując stworzenie wzrostu dorodnego kota, pokryte czarną jedwabistą sierścią. Wisząc do góry nogami za ogon, zaczął wstrętnie wyć po kociemu na jednej nucie, wytrzeszczając na mnie nieproporcjonalnie ogromne żółte oczy z zieloną

obwódka wokół źrenic.

- No co, łobuzie, dograłeś się? - wypuściłam powietrze machając mu przed nosem zaciśniętą pięścią.

- Uuuuu ... - bez nadziei zajęczał szusz z wolna obracając się na ogonie. Śmiech mnie powoli dobijał. Zapomniawszy o zemście, utykając przeszłam się po fabryce, niedbale machając szuszem, jak dajn kadzielnicą. Otworzywszy worek, wepchnęłam tam spokojnego mrakobiesa, zawiązałam sznurek i zapieczętowałam zaklęciem powszechnego posłuszeństwa. ... i do samego świtu przesiedziałam na workach z chmielem kurując siniaki i zadrapania leczniczą mieszaniną z eliksirów, zaklęć i soczystych epitetów, nie mających ani jednego powiązania z czarodziejską nauką ...

Pod przysięgą zapewniłam właścicieli, że ani jedna kadź ze słodem nie zostanie poddana zbezczeszczeniu przez nieczyste siły. Nie bez zadowolenia wysłuchałam pochwalnej mowy pod swoim adresem i pożegnałam się grzecznie, odmówiwszy "kijka na drogę". Lukomir, jak przewidywałam (ale miałam nadzieję na pomyłkę), czekał na mnie przy furtce swojego domu. Oczywiście, mogłabym wyjechać od innej strony wsi, ale doskonale wiedział, że tak nie postąpię - jeżeli nie chcę mieć nieprzyjemności.

- Przyniosłaś? - bezczelnie zapytał.

- R jak ... Rzeczywiście miałam zamiar odstąpić wam połowę honorarium, ale potem rozmyśliłam się (mina egzekutora podatków zmieniła się) ... i postanowiłam oddać wam wszystko (mina przybrała kształt zdziwienia i ostrożności). Lukomir rozwiązał worek i ostrożnie zajrzał do niego. Wionęło stamtąd wiatrem, jakby ktoś zwinny i puszysty przemknął mu obok twarzy. Poradziwszy sobie z łańcuszkiem, prowadzącym do piwnicznego okienka, wlaź do piwnicy pomagając sobie małymi łapkami.

-Ale tu nic nie ma! - zawołał, gdy otrząsnął się z szoku.

- Tak, teraz tu już nic nie ma, - z udawanym współczuciem zauważyłam. - Czy wiecie, że w naszym okrutnym czasie istnieje ciekawe pojęcia jak altruizm? „Pomagaj bliźniemu” itd. ... Nie wierzycie? Możecie sprawdzić w dokumentach! Według zapisków, przez jeden lniany worek fabryki Warokczy przechodzi towar wartości miedziaka. Rzecz ta jest bardzo wartościowa i w owym interesie niezastąpiona, można powiedzieć, że sobie od serca odejmują...

Lukomir nie docenił mojego poświęcenia. Siarczyście zaklął i zatrzasnął furtkę nie rzucając żadnych słów na pożegnanie. Worek zabrał ze sobą. Nawet słodem nie pogardził... piwniczne okienko cichutko poskrzypywało, zwisając na zawiasach... Oczywiście, żartowałam o altruizmie. Właściciele fabryki nie dali za wygraną, póki nie wcisnęli mi do rąk sakiewki wypchanej pieniędzmi. Uznaliśmy to za podarunek, który nie podlega opodatkowaniu...

## STRINGI

Króciutkie opowiadanko z belorskiego cyklu. Czy magowie potrafią przy pomocy zaklęć oprzeć się działaniu afrodyzjaku? Rezultaty eksperymentu były nader niespodziewane...

Zebranie w pokoju nauczycielskim ciągnęło się już trzecią godzinę i sprzykrzyło się tak jego uczestnikom, jak i oczekującym pod drzwiami ludziom – królewskiemu gońcowi z jakimś niezbyt pilnym, ale ważnym doniesieniem, Almitowi, który zapomniał z pokoju nauczycielskiego pliku niesprawdzonych zwitków z klasówkami, starającemu się nie przerywać zwierchnikowi, i trzem adeptom, którzy przyszli uniżenie błagać o przesunięcie kolokwium. Ci ostatni cierpieli najmniej z powodu wymuszonego próżniactwa, zamiast powtarzać materiał grali w karty o jeden konspekt wykładów (do tego cudzy) na trzech.

Naradzające się towarzystwo dopijało trzecią karafkę wody i kończyło jeść drugą tacę ciastek, ale do porozumienia i tak nie doszli. Pliotarel, elfi władca Jesionowego Grodu zgadzał się wpuścić do siebie na praktykę dwie grupy adeptów zielarstwa – pod warunkiem, że nie będą rozpalać w Grodzie ognisk, kraść ziemniaków i wydrapywać na wiekowych sosnach nieprzyzwoitych słów, czego Ksander, dyrektor Szkoły Magii i Czarodziejstwa, zagwarantować w żaden sposób nie mógł. Dla odmiany Arr'akktur, Władca Dogewy i Rolar, Arlijski Doradca, gniotli się i łamali, jak panny na wydaniu, uznając potrzebę ściślejszych kontaktów międzyrasowych, ale nie pragnąc oddawać dolin na pohańbienie dzikiej hordzie adeptów magii teoretycznej. Wal jak raz chętnie godził się sprawować opiekę nad grupą praktyków, ale tu już Ksander wymagał od niego pokwitowania, że ilu adeptów z trollem odjedzie, tyłu i powróci, przy czym nauczą się nie tylko pić, biegać po babach i wirtuozersko przeklinać.

Od pewnego czasu rozmówców rozpraszały jakieś dziwne krzyki, dochodzące z korytarza.

– Wal, ty najbliżej siedzisz – bądź dobry, wyjrzyj co się tam dzieje! – koniec końców nie wytrzymał Ksander. – I zawołaj na wicedyrektor, niech rozprawi się z tymi krzykaczami ...

Troll schował butelkę, do której przykładął się częściej, niż do szklanki z wodą, leniwie podszedł do drzwi i otworzył je na całą szerokość.

Wołać nikogo nie było potrzeby.

Na progu stała wicedyrektor, magister magii bojowej Katissa Łabska.

– Już tu jestem, moje zajaczki! – swawolnie ogłosiła, kopnąwszy nogami, tak że jej buty na wysokich obcasach jak bojowe pulsary rozleciały się w różne strony – jeden znokautował portret grupowy ojców-założycieli szkoły, drugi zawisnął na sufitowym świeczniku.

– A teraz razem się zabawimy i poskaczemy!!! – upojnie dodała Katissa, po czym zerwała z siebie długą czarną spódnicę i swawolnie rzuciła nią w twarz Ksandra. Póki arcymag gwałtownie się z niej wyplątywał, pozostali z przerażeniem obserwowali stringi Katissey obrzydliwego pomarańczowego koloru w fioletowe groszki.

– Pani Łabska, musimy porozmawiać! – zawołał arcymag, ale w tym momencie zadławił się bluzką Katissey. Pozostali jedną ręką podtrzymywali opadające szczęki, a drugą – wypadające oczy. Katissa zawsze kupowała komplety bielizny, jednak dzisiaj albo je poplątała, albo takie było zamierzenie, i do jej piersi przywierały na cienkich sznurkach dwa muchomory (uwzględniając rozmiar kapeluszy – raczej muchomorki), a między nimi przelewał się srebrem druidzki tatuaż, przedstawiający łysego pakera z ślicznymi-prześlicznymi oczami.

– Ni ghyra sobie! – wypuścił powietrze Wal. – Ró dalej można?!

Katissa swawolnie mrugnęła i zerwała perukę.

- O mamó! – powiedział troll i zatrzasnął drzwi, na które naparł wampir, a Ksander zaczął szybko czarować. Pliotarel z właściwą elfom pychą zerkał z kąta na budowę barykady, nerwowo poszczypując ostatnie leżące na talerzu ciastko.

– Wychodźcie, pysiaczki\*! – marzycielsko pisnęła Katissa. Z za drzwi błysnęło niebieskim światłem, od futryny ku ścianom z chrzęstem poszły pęknięcia.

– Imriuk, – skomentował Wal.

Katissa roześmiała się demonicznie; przez szparę pod drzwiami przemknęły nakrapiane stringi i jak żywe zaczęły wdrapywać się po nogawce Rolara. Wampir z krzykiem zerwał je i zdeptał nogami.

- Dalej, niech ktoś do niej wyjdzie – ratować pozostałych? – nieśmiało zaproponował Arr’akktur.

- To wychodź! – chórem zgodzili się « pozostali ».

- Co wy?! – wzdrygnął się Władca. – Żona mnie zabije!

- Chłopaaczki, puk-puk! – nalegała czarodziejka. – Naprawdę nie chcecie spojrzeć na moją harmonijną i piękną figurę? Ró to i bez « spojrzeć »?! Wspólny wieczorek urządzimy!

– Ró jeżeli nie wyjdiesz, Katissa zabije cię teraz – słusznie zauważył Rolar. –

Nie bój się, idź, a Wolsze nic nie powiemy.

- Aha, znam twoje « nic » – tak zaczniesz chichotać i mrugać, że wyobrazisz sobie, że żadnej Katissy nie było, a ja tu z ...

Arr'akktur wyraziście spojrział na Ksandra i zbladłszy zrozumiał, że postradanie zmysłów – to nie najgorszy wariant. \*\*

Pliotarel, przeciwnie, poróżwiał, wykaszał się i, patrząc w bok (i troszkę na Rolara) zaproponował:

- To jej powiedzmy, że tu u nas taki grupo... wieczorek, ale tylko dla chłopców!

Na ten raz zbladł Rolar.

- Nie znacie Katissy, – smętnie powiedział arcymag, łatając chwiejając się drzwi następnym zaklęciem. – To skończona feministka, natychmiast zażąda, żeby zrównać ją w prawach z nami! Wal, a dawaj my cię tego ...

- Czego?! – Wal ostrożnie cofnął się do okna wymacując rękojeść miecza.

- Wynajmiemy, w sensie!!! – ochoczo uściślił Ksander.

- Ile? – zainteresował się troll opuszczając rękę.

Człowiek, wampiry i elf pogrzebali po kieszeniach i wyłożyli na stół siedem kładni, pięć stosów i dwadzieścia menek. Wal pogardliwie zmarszczył nos:

- Wy co, macie mnie za ostatniego mgmyra? Chociaż ... posłuchaj, strzygo, swój diadem oddasz?

- Za złoty diadem ze szmaragdem sam do niej wyjdę! – nieostrożnie obruszył się Arr'akktur.

- Idź!!!! – załapali radośnie pozostali.

- Dawajcie diadem! – zgodził się Władca, obrzuciwszy złośliwym spojrzeniem kompanów w nieszczęściu.

Rolar posłuchał jak Katissa z pasją ryczy pod drzwiami i z przeciągłym westchnieniem wyjął zza pazuchy dokładnie taki złoty diadem.

- Proszę ... to rezerwowany Leereny, na wszelki wypadek zawsze noszę go ze sobą, jako pełnomocny przedstawiciel doliny.

- Katissa, ty chyba nie lubisz blondynów, co? – z nadzieją zainteresował się Arr'akktur.

- Prawda! – doleciało zza drzwi. Władca nie zdążył zrobić małego ruchu ręką, gdy Katissa dodała: – Za to uwielbiam łysych, a takiego mogę zrobić z kogo sobie życzę!!!

- Prędej śmierć, – twardo powiedział Władca, obiema rękami łapiąc się za swoją wspaniałą lnianą czuprynę, jakby obawiając się, że zaraz osypie się na podłogę. Ksander z pośpiechem uczynił ochronne zaklęcie, na wszelki wypadek i na włosy, i na brodę.

- Może udajmy martwych? – podchwycił pomysł Władca.

- Ona ma stopień magistra z nekromancji, – uprzedził arcyomag.

– Ale nie z nekrofilii!

- Kto wie ... – wieloznacznie powiedział Ksander. – Ja z nią po cmentarzach nie chodziłem.

- Pozostaje uciec przez okno, – oznajmił Rolar, otwierając szeroko okiennice i zastanawiając się, co bardziej miękkie – klomb z różami czy grządka z pomidorami, podwiązany do osikowych kołków.

- Wokół szkolnych murów lewitacja nie działa, – z żalem powiedział dyrektor. – Po to żeby adepci w czasie egzaminów nie podpowydali sobie nawzajem, podlatując do okien z otwartymi konspektami.

- Ń zasłony od czego?!

Obiekty pożądania Katissy spojrzeli na siebie źli, że ta myśl nie przyszła nikomu do głowy wcześniej.

W ciągu dziesięciu minut podwórze Szkoły wyglądało jakby wyprzedano wszystkie bilety. Jeśli wampiry z zadowoleniem szybko poradziły sobie z zadaniem, a troll w ogóle tak fachowo ześliznął się na dół, jakby regularnie zajmował się podobnymi ćwiczeniami, to powiewający brodą Ksander z zatkniętymi za pas połami nauczycielskiego płaszcza otrzymał gromkie oklaski (od kolegów i obecnych absolwentów) i entuzjastyczne piski (od młodszych kursów). Praktykantka z katedry zielarzy pośpiesznie pobiegła po walerianę – napić czkającego smoka.

Wystarczyło, że Nauczyciel znalazłszy się na ziemi ogarnął zgromadzenie groźnym spojrzeniem, jak wszyscy jego podopieczni momentalnie przypomnieli sobie o swoich nauczycielsko-uczniowskich obowiązkach, i zejście Priotarela odbyło się w dumnej samotności.

Sążeń nad ziemią nie przeznaczona do gimnastycznych ćwiczeń zasłona urwała się i elf poleciał w róże, które na zawsze przestały być jego ukochanymi kwiatami.

- Koniec, idę stąd ... – zajęczał nieszczęśliwy, na czworakach wypełzając na dróżkę prowadzącą do bramy.

- I to jak najszybciej!!! – podtrzymały go wampiry – tak moralnie, jak i pod łokcie.

- Trzeba zawołać stróża w magicznej zbroi, – z troską powiedział Ksander, idąc ich śladem. – Inaczej nie poradzimy z nią sobie!

Wal z mieszanymi uczuciami obejrzał się na otwarte szeroko okno ale rozsądek jednak zwyciężył.

W drodze do bramy zbiegowie zderzyli się magistrem Wierogorem z katedry Zielarzy, który dopiero co wylazł z alchemicznego laboratorium w piwnicy.

- Ksander, nie widziałeś Katissy? Zawiązała się między nami pasjonująca

dyskusja, czy magowie są zdolni z pomocą zaklęć oprzeć się działaniu afrodyzjaku, a na koniec wypięła cały flakonik. A potem udała się na wykład i dlatego nie mogliśmy wyjaśnić tego do końca ...

Kompania spojrziała na siebie i chórem zawiadomiła:

- Dawno oczekuje Was w pokoju nauczycielskim!

Wierogor, spojrzawszy na nich ze zdziwieniem, wzruszył ramionami i podszedł do szkolnych drzwi.

- A wiecie co? – Ksander niespodziewanie szturchnął rozmówców.

– Nie będziemy się spieszyć. Afrodyzjak wywietrzeje za jakieś półgodzinki, a dzięki temu i Katissa, i mój szanowny kolega na zawsze zrezygnują z podobnych eksperymentów w czasie pracy!

Rolar po kryjomu trącił Arr'akktura w bok i wyszeptał:

- A stringi miała całkiem, całkiem!

- Aha, – z uśmiechem przytaknął Władca. – Muszę Wolsze takie kupić ... ale adeptów do Dogewy teraz tym bardziej nie wpuszczę! Jeśli u nich w Szkole nawet wykładowcy takie ...

Doradca zgodnie milczał.

\* Мишки-Шалунишки być może chodzi o misie-pysie

## Horoskop

- Śpi, - szósty raz powtórzył pomocnik astrologa, wielgachny chłop, zdolny bez pomocy pałki sprawić, że natrętny interesant zobaczy gwiazdy w środku dnia. Uprzejmość, do której zmuszało szlachetne pochodzenie (a prócz tego - dwuręczny miecz) gościa powodowała, że kawał chłopca co chwila drapał się, wzdychał i przestępował w miejscu z nogi na nogę, żeby chociaż jakoś zająć mięśnie.

- Jak to - śpi?! Przecież umówiliśmy się! O wschodzie słońca!

- Yy... - Pomocnik ziewnął otworzywszy szeroko usta. Rycerski koń z przestachem tupnął kopytem. - Umawialiście. Całą nockę na gwiazdy patrzył,



ażeby nie przepuścić ani jednego ruchu... ik!... ciał niebieskich.

Gość przeniósł spojrzenie na ciemne wejście, z którego jak raz wyfrunęło jedno z nich: zaczerwienione, roztrzepane, w wejściu próbujące trochę głębiej upchnąć w stanik puszyste piersi..

- Ale ja dałem zaliczkę!

Po opuchniętym obliczu pomocnika widać było, że pieniądze klienta zostały wydane z sensem.

- Ń horoskop, horoskop postawił?!

- Tu coś leży rzucone, - zlitowała się nad rycerzem staruszka-służka, powoli szeleszcząca miotłą tak po podłodze, jak i po fotelu dla gości. - Ot, na stole z brzeżka...

- Dawaj tutaj! - wymagająco wyciągnął rękę gość. Pomocnik westchnął, ale nie odważył się nic zrobić na przekór szlachetnemu panu. Szurając nogami po tylko co zamiecionym w kupkę kurzu, dowlókł się do stołu i tak samo powoli wrócił z powrotem.

Rycerz niecierpliwie wyrwał mu pergamin, zerwał i rzucił na ziemię pozłacaną wstążeczkę. Tak: w górnym prawym rogu grubo wypisane: « do pana Melryka », i dalej - dobre trzy łokcie gęstego tekstu. « No.. hî-rî... skop, postawiony... si... siódmego dnia miesiąca wie... wi... »... a, żeby cię! Koń zadreptał w miejscu, i zadzwonił uprzężą. Tak, w ogóle, nie rycerska to sprawa - czytanie! Do tego na ulicy, w siodle i w pośpiechu.

- Czytaj, - wyniośle rozkazał Melryk, podawszy pergamin pomocnikowi, już sposobiacemu się zatrzasnąć drzwi.

- Ale, panie...

- Za te pieniądze, co ja wam, cwaniaki, zapłaciłem, - ryknął rycerz, - poemat mi powinien ułożyć, przy lutni i piszczałce wykonać, a nie bazgrać na zgniłym kawałku skóry, jak nie przymierzając kura pazurem! (Tu Melryk przesadził - pergamin był drogi, szakkarski, z monogramami w rogach).

Osilek\* wtulił głowę w ramiona, z pośpiechem rozwinął zwitek, wpatrzył się i zaczął śpiewnie, ale nie to co we wspomnianych wierszach, czytać:

- Słońce w waszej astralnej mapie znajduje się w znaku Skryby\*, co wskazuje przezorność, odpowiedzialność i emocjonalny dystans... W chwili waszego urodzenia Wilcze Oczy znajdowały się w najniższym punkcie nad horyzontem, wznosząc się ku górze, co daje duże prawdopodobieństwo rozwoju manii wielkości albo, minimum, skłonności do oszukiwania się i niepohamowanego dążenia do przepychu, ale jeżeli uświadomicie sobie potrzebę służenia ludzkości w zgodności z niebieskimi prawami...

Pięć minut Melryk uważnie słuchał, potem zorientował się, że do końca jeszcze daleko, a oczy już mu się zamykały.

- Ő sobie to ja wszystko wiem, - przerwał lektorowi. – Ty mi od razu powiedz: czy dzisiejszy dzień sprzyja dokonaniu wielkiego czynu?

- Idealnie, - przestudiowawszy pergamin pewnie oświadczył pomocnik. - Szczególnie pomiędzy dziewiątą rano i trzecią po południu, gdyż w tym czasie gwiazdy ustawią się w wyjątkowo pozytywny układ...

Rycerz z ulgą wypuścił powietrze i z chrzęstem zacisnął pięści w rękawicach. Osilek drgnął i z pośpiechem dodał: - Wasze przedsięwzięcie zakończy się powodzeniem, tylko w przypadku gdy nad waszymi czynami sprawować będą rządy miłość i wiara w cuda!

Melryk pogardliwie prychnął: miłość z wiarą i tak nigdy go nie porzuciły widniejąc na wybitej na tarczy dewizie. Rycerz rzucił na ziemię drobną monetkę, ściągnął cugle i, zapomniawszy zabrać zwitek pomknął do miejskiej bramy.

Osilek potępiająco pokręcił głową, podniósł monetkę i zatrzasnął drzwi.

\* \* \*

Lepiej oczywiście, byłoby gdyby gwiazdy czekały ze swoimi znakami do wieczora: słońce przypiekało coraz silniej, a męczyć konia przed pojedynkiem nie chciał, tak więc czekały go jeszcze dwie godziny wleczenia się po zakurzonej drodze.

Na skraju lasu, z drugiej strony którego znajdowała się wieś, rycerz zsiadł i owinął końskie kopyta szmatkami, a hełm wziął pod pachę przycisnąwszy szcękającą przyłbicę łokciem. Ő nie, ani myślał podkraść się do śpiącego smoka, ażeby zdradziecko przebić go włócznią! Melryk raczej rzuciłby się na własny miecz, niż tak splamił rycerski honor.

Ale przekłety łuskowiec poczynął sobie wyjątkowo podle, nie kradł owiec a płacił za nie najprawdziwszymi kładniami, przy czym dawał większą cenę niż rynkowa. Dlatego smoczy problem pogłębiał się z powodu nieuprzejmości miejscowej ludności, która wygrzmociła kołkiem już trzech kandydatów do chwalebnych czynów.

Zatrzymawszy się obok wysokiego wzgórza, rycerz szybko przywołał siebie i konia do porządku, wlaź w siodło, położył miecz w poprzek kolan, podniósł rodzinny róg, i, pomodliwszy się w myślach do bogów i gwiazd, podniósł go do warg.

Dźwięk wyszedł wysoki i piskliwy: róg z latami zawilgotniał, nie to co grać na piszczalce, to trzeba było umieć.

Przy czym, to już było nieważne: z jaskini jak strumyk rtęci wyśliznął się ciemnomiedziany, złoto żyłkowany smok. Nie za duży, ale to zależy z czym

porównywać. Jeśli z rycerzem - to nawet bardzo.

- E, ty - ohydne krwiożercze stworzenie, trzymające w strachu całą okolicę?  
- zarozumiale zainteresował się Melryk jak kazał rycerski zwyczaj.

- Nie, ja jestem śliczną niewinną panną, - zjadliwie odezwał się smok z zadowoleniem przeciągając się i rozprostowując skrzydła. – Zaczarowaną przez złego czarownika.

Z jaskini doszedł cichy chichot.

- No, bądź odważny, mój rycerzu! - zalotnie dodał łuskowiec pochylając głowę do ziemi i niecierpliwie merdając ogonem, jak pies w oczekiwaniu nagrody. – Cała jestem twoja.

Melryk był człowiekiem prostym, o poczuciu humoru miał nader niejasne pojęcie, a i hełm zniekształcał intonację rozmówcy nie do poznania. Róż już w świetle horoskopu...

Rycerz zsiadł z konia, ceremonialnie opadł przed smokiem na kolano, wziął łuskowaty pysk w dłonie, zmrużył oczy i z namaszczeniem pocałował prosto w usta.

Oczy łuskowca polazły na czoło. Smok rzucił się, wylądował na własnym ogonie i gwałtownie zamachał łapami, odpelzając od przeznaczenia. Dotarwszy do wzgórza, łuskowiec drgnął, obejrzał się i wreszcie przypomniał sobie że umie latać. Rozłożył skrzydła i podskoczywszy bez namysłu pomknął precz, plując czarnym płomieniem.

Z jaskini z obawą wyjrzała panna. Już nie taka niewinna, ale jeszcze całkiem piękna. Ze zdziwieniem zwróciła oczy na malejącą w oddali na niebie plamkę, i jej zręcznie uróżowiono-pobielona w potrzebnych miejscach buzia zniekształciła się ze złości.

- Oszust! Żulik! Jaszczurka krzywołapa! Żeby ci powyłaziło, nie, poodpadało! Róż... hm?

Melryk kontynuował klęczenie, z zamkniętymi oczami i wyciągniętymi wprzód rękami, oczekując na wynik.

Panna przyjrzała się, fachowo doceniła wartość miecza i rasowego konia, a także rodzinny herb na jego czapraku. Zamyślona przygryzła wargę, potem pogroziła niebu pięścią, stanowczo podeszła do rycerza i postukała w jego hełm kosteczkami palców.

- Ô, szlachetny nieznajomy! Uratowałeś mnie od tej swoło... okropnej doli. Jak mam Ci się odwdzięczyć?

Melryk z nadzieją otworzył jedno oko, potem drugie, i rozjaśnił się. Rozpłynąwszy się w komplementach, podsadził damę w siodło i, ledwo nie pękając z dumy skierował konia do miasta.

Prześliczna panna trzymała rycerza w talii (parę razy po kryjomu

«ześliznąwszy się» ręką i pomacawszy trochę niżej) i przemyśliwała, jak zakończyć pierwszą małżeńską noc najmniejszym skandalem.

\* \* \*

Astrolog przypomniał sobie o Melryku już późnym wieczorem, kiedy to upadł wstając od stołu i zatoczywszy się pod fotel znalazł zwitek z horoskopem.

- Ej, - zdziwiony zawołał pomocnika. - Ź ten, jak go, czerniawy taki... pan Melryk!... czy nie zachodził? Wczoraj zapłacił dużą sumkę za pilną robótkę.

- Zachodził, - chrząknął ten. - Z rana, wy jeszcze raczyliście odpoczywać.

- Czemuż zwitka mu nie oddałeś?

- Dyc ja... tego... - Osilek spuścił głowę. Z trzeźwą głową poranny żart już nie wydawał się mu taki zabawny. - Wszystko mu rzekłem.

- A jakim to cudem, durniu? - krzyknął astrolog. - Przecież czytać nie umiesz!

- Ź po co tam czytać, - wzruszył ramionami pomocnik. - Czy ja, mało nasłuchałem się was w ciągu tych pięciu lat? Naplotłem mu stosownie do wszelkich sytuacji, o Skrybie, o układach gwiazd...

Gospodarz z serca wymierzał mu policzek.

- Tak w ogóle orientujesz się, durniu, coś narobił?! Według gwiazd, ten Melryk dzisiaj wogóle nie powinien opuszczać domu! Ź do smoka miał zamiar, czujesz, smo-ka! Tego samego, co już więcej głupców okaleczył, niż u ciebie, maszkaro, palców! Pozbawiłeś nas takiego korzystnego klienta, pało! Dureń...

Pomocnik skruszony sapał.

Gwiazdy zjadliwie mrugały z firmamentu.

\* детина – rosły i silny młody mężczyzna - słowem osilek

\* писец – człowiek, który zajmuje się przepisywaniem książek i dokumentów – pisarz, skryba

**Gromyko Olga**

**Nie dla kronik**

*Z „Nowa Fantastyka” nr 8/2010*

Specjalnie dla was, panie i panowie, stwórz paskudny, straszliwy pomiot mroku! - Zdierał gardło jarmarczny krzykacz, stojący tuż przy wejściu do krzywego namiotu z brudnego samodziąłu, niebezpiecznie chwiejącego się na

wietrze.

Przechodzący obok mag skrzywił się z obrzydzeniem. Smród ze środka „atrakcji” przywodził na myśl płatny szalet dla wyjątkowo niewybrednych klientów... albo przynajmniej takich, których naprawdę przypieкло.

Mimo to znalazło się trochę chętnych, by zajrzeć do środka. Najpierw za usłudźnie przytrzymałą płachtę weszła gruba baba, która natychmiast wyskoczyła z piskiem, bez przerwy się żegnając. Potem jej śladem weszła dwójka urwisów. Ci zamarudzili dłużej, a jednego właściciel musiał wyciągnąć za ucho, by zwolnić miejsce dla kolejnego klienta.

- Który odważy się zobaczyć krwiożerczego potwora na wyciągnięcie ręki, splunąć w jego bezwstydną oczy?!

„Nie, jednak nie szalet” - z roztargnieniem pomyślał mag, szukając potrzebnego straganu. „Pewnie złapał jakiegoś potwora i teraz pokazuje. Strzygę albo trupojada. Przez wojnę się ich namnożyło, więc praktycy mają mrowie pracy, czasami nawet trzeba adeptów ze starszych lat ścierać na czystki. Oj długo jeszcze będziemy to piwo pili... za późno zareagowaliśmy”.

- Dobrzy ludzie, takie atrakcje tylko u nas! Nie pożałujecie! - krzykacz dawał z siebie wszystko. - Stwór wredny, okrutny, paskudny i przebiegły, sam się wzdragam, patrząc!

Dalej mag już nie słuchał. W końcu udało mu się znaleźć stragany z nabiałem. Wybrał najbardziej czystą i budzącą sympatię babinę, bez targowania zakupił od niej garniec świeżego mleka („Dopierom zdoła, ciepłutkie jeszcze!”), ostrożnie przelał je do flaszki przy pasie i ruszył wprost ku wyjściu, zamierzając możliwie szybko wrócić do gospody, w której godzinę temu wynajął osobny pokój na noc.

Droga powrotna przebiegała obok widzianego wcześniej śmierdzącego namiotu. W zasadzie „obok” miało być jak najbardziej dosłowne, ale krzykacz akurat wypuścił z rąk rąbek płachty, którą wiatr natychmiast uniósł nad daszek, pozwalając przypadkowemu spojrzeniu wślizgnąć się do środka.

Widok był tak niespodziewany, że mag aż się potknął. Odwrócił się na pięcie, gwałtownym ruchem odciągnął już opuszczoną płachtę, zignorował oburzone krzyki właściciela i zrobił krok do środka, demonstracyjnie nie patrząc na wyciągniętą po opłatę dłoń.

W niskiej klatce z połączonych na sztywno prętów - nie wyglądało, by znajdowały się w niej jakiegokolwiek drzwiczki - siedział zgarbiony wampir. Nagi, brudny, pokryty siniakami i oparzeniami, umęczony do tego stopnia, że jego organizm zaprzestał regeneracji. Zresztą, o czym tu w ogóle mówić - biedak był za słaby nawet na zwinięcie skrzydeł, które zwisały wzdłuż pleców nierównymi płatami skóry.

W poprzek piersi, a raczej wystających żeber, ciągnęła się szeroka karmazynowa blizna. Czyli jednak dał radę wyleczyć jedną, najgorszą ranę, a i to nie do końca. Pewnie to właśnie z jej powodu trafił do niewoli.

Wojna się skończyła, ozdobiona pieczęciami umowa pokojowa została uroczyście odczytana na wszystkich placach, ale rozdrażnieni i żądni krwi ludzie domagali się ciągu dalszego, nie rozumiejąc, dlaczego nie pozwolono im na dobre wytepić wszystkich przeklętych istot.

Dlatego nieszczęsny półżywy wampir siedział w szczelnie zamkniętej klatce i powoli konał bez wody i jedzenia, we własnych odchodach, stanowiąc atrakcję jarmarczną dla spragnionego rozrywek tłumu. Ile on już tu tkwił? Dwa tygodnie? Miesiąc? Wampiry są bardzo żywotne, a ten może i nie miał jasnych włosów, ale stanowczo walczył. Strażnik? Chyba tak.

Mag postukał po jednym z prętów czubkiem buta, ale więzień nawet nie odwrócił głowy.

- Szanowny pan go rozżarzoną żelazem - usłużnie zaproponował krzykacz, nadal mając nadzieję na datek. - O tamaj stoi, w garze z węglami!

Czyli to stąd oparzenia.

Mag ze świstem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby, popatrzył wprost na klatkę i gwałtownie machnął rękami.

Więzień do tego stopnia osłabł, że nie poruszył się nawet, gdy pręty na jednej ze ścianek z umęczonym skrzypieniem odgięły się do góry. Jego oczy były otwarte, ale patrzyły przed siebie kompletnie bez



wyrazu, więc mag tylko pokręcił głową, pochylił się, złapał wampira pod pachy i wyciągnął z klatki. Krzykacz wyleciał z namiotu, jakby go kto gonił. Mag z trudem powstrzymał się, by nie rzucić jego śladem tak z pięciu piorunów, ale ograniczył się do soczystego przekleństwa. Obciążony skórą szkielet okazał się nienaturalnie lekki, ledwo ciepły i do tego stopnia zeszywniały w skulonej pozycji, że mężczyzna musiał nieźle się wysilić, by rozłożyć go na płaszczu i szybko, póki sierść jeszcze trzymała ciepło właściciela, owinać. Żyłka na szyi wampira pulsowała słabo i nierówno, więc mag, czując, że ma niewiele czasu, po prostu zarzucił długi pakunek na ramię i szybkim krokiem ruszył do wyjścia. Tam już czekał niewielki tłumek, któremu przewodził wyraźnie ośmielony krzykacz.

- Tu jest! Przeklęty czarownik, co to strzygę uwolnił i teraz z nią ucieka! - wrzasnął z bezpiecznej odległości, potrząsając w kierunku planowanej ofiary kołkiem wyciągniętym z żywopłotu. Pozostali uczestnicy równo podzielili pomiędzy sobą lagi i kamienie, chociaż mag z pewną pogardą zauważył też dwóch rycerzy z mieczami i jednego dajna, który w milczeniu stał sobie obok i czekał na rozwój wydarzeń. Przedstawiciele pozostałych ras uciekali spojrzeciami i spieszenie wymijali miejsce przyszłej bijatyki, by przypadkiem osobiście nie trafić przed rozwścieczony tłum.

Oczywiście mógł skorzystać z zakłęb bojowych, co prawie na pewno

skończyłoby się solidną górką trupów oraz długim procesem sądowym, a może nawet więzieniem. Mógł tchórzliwie krzyknąć „ratunku, mordują!”, ale nie spodziewał się jakichkolwiek efektów - straż miejska i bez jego pomocy widziała wydarzenia na targowym palcu, tylko że nie śpieszyła z interwencją. Ostatecznie mógł ze złością zrzucić swój ładunek pod nogi prowodyra, skorzystać z wynikłego zamieszania, by otworzyć pojedynczy teleport i uciec wprost do gospody, po czym możliwie szybko nawiać z miasteczka, bo oszukany tłum natychmiast ruszyłby na jego poszukiwania, a po drodze parokrotnie napęczniał.

Szczęśliwie dla niego do Rady Konwentu magów nie przyjmowano idiotów.

- Faktycznie - potwierdził bez cienia uczuć w głosie - jestem czarodziejem. I na mocy pełnomocnictwa, udzielonego mi przez Konwent i Jego Królewską Mość Wasara VII, konfiskuję tego stwora do alchemicznych doświadczeń. Oczywiście, jego właścicielowi należy się odszkodowanie oraz wyrażone przeze mnie osobiście podziękowania za udział w złapaniu monstrum.

Wyciągnął z kieszeni ciężką sakiewkę i podał ją krzykaczowi. Ciekawość i chciwość przeważały, więc ten natychmiast pożałował, że wciągnął w swoje sprawy handlowe tyle osób, opuścił rękę z kołkiem, a drugą złapał za sakiewkę. Niestety, gdy tylko spróbował zapoznać się z jej zawartością, denko urwało się i pod nogi tłumowi spłynęło drobne, ale przez to bynajmniej nie mniej kuszące srebro. Wszyscy natychmiast zapomnieli o czarownikach i wampirach, rzucili na ziemię prowizoryczną broń i padli na kolana, zamierzając zgarnąć możliwie dużo ulicznego błocka z połyskującymi monetkami. Rozpaczliwe wołania krzykacza nie budziły już najmniejszego współczucia, biedak został po prostu odepchnięty na tyły, tak więc mógł już tylko biegać dookoła tłumowi i z pretensją rwać sobie włosy z głowy.

Tymczasem mag spokojnie odwrócił się i, odprowadzany chmurnym spojrzeniem dajna, bez przeszkód dotarł do jarmarcznego koniowiązu, nie śpiesząc się, zapłacił stajennemu, wskoczył na spokojną gniadą kobyłkę i tyle go widzieli.

Pierwsze (i sądząc z oznak, ostatnie) oznaki życia wampir zaczął dawać dopiero w balii z gorącą wodą - poruszył się, otworzył spękane usta w bezgłośnym jęku i spróbował złapać cieknące po twarzy strumyki.

Mag odczepił od pasa flaszkę, przytrzymał biedakowi głowę i pomógł upić kilka desperackich łyków, po których tamten ponownie stracił przytomność.

Próby leczenia czy bandażowania jego ran miały się z celem, tak więc mag po prostu umył umierającego, owinął go kołdrą i położył na łożku. W zamyśleniu spojrział na przedśmiertnie wyostrome rysy twarzy, która kolorem niezbyt różniła się od spranego, szarego samodziału, po czym z *westchnieniem*



sięgnął do torby po krótki obrzędowy sztylet.

Tej nocy, jak zresztą i dwóch poprzednich, mag spał urywkami, nabierając coraz większego szacunku dla Katissy Łabskiej, zasłużonej bakałarz magii bojowej drugiego stopnia, która, nie przerywając pracy zawodowej, zdążyła trzykrotnie wyjść za mąż i wychować dwójkę dzieci. Teraz przynajmniej nie dziwił się jej paskudnemu charakterowi!

Gdy o świcie w końcu udało mu się znaleźć parę minut dla wampira, ten leżał na brzuchu, z głową odwróconą w kierunku ściany. Oddechu nie było słychać, ale mag poczuł, jak spada mu ciężki kamień z serca. Umierający mimo wszystko nie próbują układać się wygodniej, a już tym bardziej nie rzucają się na pochyłonych nad łóżkiem ludzi. Co prawda ten drugi dowód żywotności wampira bynajmniej maga nie ucieszył. Mężczyźni poturlali się po podłodze. Szczęśliwie dla człowieka, jego przeciwnik był jeszcze zbyt słaby, ponieważ w przeciwnym razie z łatwością urwałby mu głowę, nie bawiąc się w duszenie.

Szczęśliwie dla wampira, rzucanie czarów, będąc wcale skutecznie duszonym, okazało się cokolwiek niewygodne.

Siły były prawie równe, ale stalowy uchwyt na gardle nieoczekiwanie osłabł i mag, nadal kopiąc na oślep, odpełził na bok, desperacko próbując skupić się na formule potrzebnego zaklęcia, które w tym momencie i tak było już nieprzydatne.

- Sssukinsssyn,.. niewdzięczne bbbydłę - wychrypiał człowiek, drżącą ręką obmacując gardło. Wampir siedział, oparty o przeciwną ścianę, i również ciężko dyszał. W odpowiedzi na takie epitety spojrział na przeciwnika spode łba, po czym wykrzywił wargi w pogardliwym grymasie typu „ty to dziękuj, że w ogóle puściłem”, ale nieoczekiwanie wykrztusił niechętnie:

- Przepraszam.

Nagie ciało nadal niezbyt odróżniało się od szkieletu, ale oparzenia znikły, a po bliźnie został wąski, jasny ślad. Mag spojrział na wampira, który nadal drżał i próbował otulić się skrzydłami, i cała wściekłość gdzieś uciekła.

- Wstawaj - polecił z westchnieniem, sam nie bez trudu podnosząc się na nogi. Gardło nieco odmawiało posłuszeństwa, jak po nieudanym samobójstwie ze złamanym sękiem, a w dopiero co zabliznionym nadgarstku pulsował tępy ból. - I weź z mojej torby zapasowe spodnie. Nie jestem pewien co do koszuli, ale chyba też powinna być. A tymczasem pójdę po śniadanie.

Gdy mag wrócił z pełną tacą, tamten był już ubrany i siedział na brzegu łóżka, otulony własnymi ramionami. Na widok jedzenia natychmiast ożywił się i rzucił w jego kierunku z wilczą żarłocznością.

Człowiek darował sobie aluzję, że jeden z talerzy miał być dla niego, tylko ostrożnie spytał:

- Nie będzie ci potem niedobrze?

Wampir, nie przerywając żucia, przecząco pokręcił głową. Dopiero gdy ostatni kawałek chleba zniknął w jego wyraźnie napęczniałym pod koszulą brzuchu, a palce zostały dokładnie oblizane, mag zaszczycony został badawczym spojrzeniem.

- Człowieku, czego ty ode mnie chcesz?

Niczego. - Słowa te nieco mijały się z prawdą. W tej konkretnej chwili faktycznie niczego nie chciał, ale nieoczekiwane zrządzenie losu tak idealnie współgrało z jego zamiarami, że głupio byłoby z niego nie skorzystać. Uratowany sceptycznie uniósł prawą brew:

- To czemu zawdzięczam tę... hm... opiekę?

- Przypadkiem przechodziłem obok. Kolejnemu pytaniu towarzyszył gorzki uśmiech:

- No cóż, to dziękuję, że nie przeszedłeś. Jeśli nie tajemnica, to gdzie się udajesz?

- Do Dogewy - mag nie miał zamiaru się wykręcać.

- Po co? - wampir natychmiast wzmógł czujność.

Lecz nagle ze stojącego na krześle kosza doleciało senne chlipnięcie, a po nim cienki niemowlęcy płacz.

- Znowu?! - tonem skazańca jęknął człowiek, ale bez chwili wahania ruszył do sprawdzania i ratowania sytuacji. - No a jak! Gdzie ja ci znajdę tyle szmat, co?!

Wampir z pewną ciekawością (niecodziennie widuje się maga bojowego, który w skupieniu wacha niemowlęce pieluchy) podszedł bliżej.

- Twój?

- Wasz. - Mag wyciągnął z torby czystą szmatę i delikatnie, chociaż cokolwiek niezręcznie, przewinął dziecko, szczególnie uważając na krótkie, szare skrzydełka, które co i rusz próbowały zagiąć się pod niewłaściwym kątem.

-Ale on... - Drugi z mężczyzn gwałtownie wciągnął powietrze i ni to usiadł, ni to padł na kolana przed koszem.

- Dokładnie.

O ile tradycyjnie niebieskie oczy niemowlaka powoli zyskiwały szary kolor, o tyle włosy już ostatecznie się zdecydowały : były złocisto-brązowe.

- Władca... - z nabożnym szacunkiem szepnął wampir, ale natychmiast z pretensją rzucił się na maga: - Skąd go masz?!

- Uratowałem w czasie rzezi w przygraniczu. Przez kilka miesięcy ukrywaliśmy go w Szkole Magii, a teraz, skoro w końcu mamy pokój, uznaliśmy, że oddamy do doliny.

- Dlaczego w takim razie od razu się tam nie teleportowałeś? - brzmiało to

cokolwiek nieufnie.

- Z takim małym dzieckiem, na dokładkę nielu... - zaciął się - innej rasy? Nie byłem pewien, czy dobrze zniesie teleportację, więc uznałem, że nie będę ryzykował.

- To czemu nie dostałeś oddziału eskorty od Konwentu? - Wampir nadal nic nie rozumiał. - Przecież wiedzą, jak cenne jest dla nas to dziecko!

- Ukradłem je, skoro już bawimy się w szczerłość, moi koledzy ciągle przeciągali sprawę, że niby poczekamy jeszcze z rok, aż się wszystko ułoży i uspokoi... ale po trzech zamachach uznałem, że w dolinie będzie mu lepiej. Przynajmniej nie wpuszczacie tam ludzkich fanatyków i magów-renegatów.

- Chcesz powiedzieć, że magowie ze Starminu mieli zamiar szantażować Dogewę naszą ostatnią nadzieją?! - aż zachłysnął się z oburzenia.

Mag filozoficznie wzruszył ramionami.

- Nie przyznawali tego na głos, więc nie wydaje mi się, by Konwent bardzo się zezłościł na mój malutki pokaz samodzielności.

- Na głos może i nie - z tych słów wprost bił jad. - Wiesz co, chyba nie będę nadużywać twojej dobroci i sam zawiozę małego do Dogewy. A jeśli chcesz otrzymać jakąś nagrodę, to opisz wszystko na kartce papieru. Przekażę ją do Rady Doliny i jeżeli twoje żądania okażą się rozsądne, w miarę sił spróbujemy je wypełnić. Osobiście tego dopilnuję.

- Nic mi nie trzeba - zdecydował się nie zdradzać, że taka odpowiedź nieco go uraziła. - Do Dogewy masz dwa dni drogi, przy czym musiałbyś iść lasem. Ludzie są zbyt wściekli za tę porażkę, nawet jakby i miała być tylko na papierze, więc dowolny podejrzany mężczyzna może w każdej chwili zostać zatrzymany i poproszony o pokazanie zębów. Odmowa zakończy się ukamienowaniem. A w lasach jest pełno maruderów, którzy dla kilku monet zaatakują nawet ludzką kobietę, co dopiero wampira.

- Mogę zmienić postać.

- A dziecko? W zębach będziesz niósł? Tym bardziej, że ono minimum sześć razy na dobę potrzebuje świeżego mleka. Gdzie masz zamiar je dostać?

Argumenty były wcale przekonujące i po chwili namysłu wampir zdecydowanie potrząsnął głową:

- Czyli pojedę do Dogewy razem z tobą, tak czy siak muszę możliwie szybko tam wrócić. Przy okazji dopilnuję, by dziecko dotarło tam, gdzie powinno.

- Nie ufasz mi?

- Nie ufam - w odpowiedzi zabrakło nawet cienia wstydu.

- To doskonale. - Mag nieoczekiwanie się uśmiechnął. - Uczciwie mówiąc, sam miałem zamiar cię o to prosić. Nie znam dogewskich lasów, a nie chciałbym zacząć rozmowy ze strażnikiem od jego uprzedzającego strzału w moje plecy. A

przy okazji, mam na imię Ksander.

- Oroen.

Mężczyźni wymienili uścisk nad koszykiem. Dziecko znowu zapiszczało - tym razem z głodu. Póki wampir, wstrzymując oddech ze względu na wyjątkowość chwili, zajmował się różkiem, Ksander znowu zszedł na dół i ugadał z właścicielem gospody warunki wynajęcia drugiego konia, a przy okazji zapłacił za pokój i kupił trochę jedzenia na drogę. Znalazł też nieco wyświechtane, ale nadające się do noszenia buty, które udało mu się zakupić ledwie za parę srebrników. „Na zapas, bo moje chyba zaczęły przeciekać”.

Zadowolony z siebie, wrócił na górę, ale nie śpieszył się z oddawaniem towarzyszowi drogi „zapasowych” butów.

- W takiej postaci nie wyjdiesz z miasta. Wczoraj udało mi się oszukać tłum, ale jeśli dziś ktoś pozna ciebie albo mnie, to obaj mamy przesrane. Oczywiście, mogę lekko zmienić twoją twarz, ale każdy mój towarzysz tak czy siak wywoła podejrzenia i zostanie dokładnie sprawdzony. Nawet mogą go zaciągnąć do świątyni w celu poświadczenia, Z dajkami od początku idziemy na noże, więc tylko się ucieszą, mogąc utopić konkurenta.

- Co proponujesz?

Mag wyjaśnił krótko, ale treściwie.

- Dobra. - Wampir bez sprzeciwu zrzucił ubranie, przykucnął i rozwinął skrzydła.

Sytuacja okazała się jeszcze gorsza, niż się wydawało. Tłum, pod przywództwem wczorajszego krzykacza, był wyraźnie wściekły na sprytnego czarownika i już czekał pod bramą. Tyle dobrego, że pojawił się tam dosłownie minutę przed tym, jak całkowicie spakowany mag wyszedł z budynku, więc obeszło się bez pogromu. W prawej ręce człowiek niósł pleciony kosz z piszczącym dzieckiem, a przy jego lewej nodze, na solidnej skórzanej smyczy, biegł wolijski owczarek o chytrym rudym pysku i kudłatym ogonie.

Tłum wyraźnie nie spodziewał się tak sielankowego obrazka, więc zastygł w nabożnym milczeniu i nie przeszkadzał w spokojnym osiodłaniu obu kobył. Pies spokojnie siedział nad koszem.

- A gdzie strzyga? - niepewnie rzucił krzykacz, gdy mag już wyprowadził konie za bramę, bezczelnie wręczył wodze jednemu z zebranych (który z braku lepszych pomysłów pokornie oddał swoją lagę sąsiadowi i złapał wodze), po czym wrócił po kosz i, psa.

Ksander nawet nie zniżył się do udzielenia odpowiedzi, tylko zmierzył pytającego pogardliwym spojrzeniem, mówiąc: „sam nie widzisz, że nie tutaj?”.

Na „strzygę” czy kogoś nieznanego tłum runąłby bez wahania, ale nikt nie

miał specjalnej ochoty na siłowanie się z magiem bojowym. Ludzie patrzyli po sobie i wymieniali komentarze, ostatecznie obrabowany krzykacz znowu musiał wziąć inicjatywę w swoje ręce: nieoczekiwanie wykonał zamach i uderzył pałką powietrze kilka dłoni nad głową psa. Owczarek przysiadł z przestraczem, ale natychmiast wyszczerzył kły i z ujadaniem rzucił się w kierunku atakującego. Mag ledwo zdążył owinąć sobie smycz dookoła ręki i zaprzeć się nogami.

- Szanowny pan to do reszty rozum postradał? - zimno spytał Ksander, gdy w końcu udało mu się zapanować nad psem i zmusić go, by usiadł przy nodze. - Życie się znudziło?

- Kto tam was, czarodziejów, wie - w głosie chłopca brzmiała obawa, ale i upór. - Wy to potraficie zwykłemu człowiekowi namieszać w głowie i ukryć tego potwora. A nuż on tu obok stoi, tyle że go nie widzimy! No to dla pewności pojechałem pałką.

- Przekonał się pan? - ton maga był zupełnie lodowaty. Pies nie ruszał się z miejsca, ale wyraziście szczerzył się i warczał. Krzykacz namyślał się podejrzliwie, czując, że coś jest nie tak, ale nie rozumiał, co by to mogło być.

- A po co ci druga kobyła?

- Zmienna - uciął Ksander, przywiązując smycz i wodze zapasowego wierzchowca do łąku swojego siodła. Włożenie na konia z ciężkim koszem w rękach okazało się niezbyt proste, ale sobie poradził. -

Jeszcze jakieś pytania?

- Pokaż zęby - niepewnie zażądał ktoś z tłumu.

Mag pokazał co innego, a wyraz jego twarzy był przy tym tak sugestywny, że dalsze pretensje odpadły same z siebie. Ludzie niechętnie rozstąpili się, dając drogę. Chłop, który zdążył już z powrotem odebrać swoją pałkę, w oszołomieniu patrzył na rzuconą przez maga drobną monetę.

Ksander wyjechał kawałek za miejską bramę i niedbałym ruchem dłoni zdjął iluzję. Teraz obok konia, bez żadnej smyczy, rześko przebierał łapami wychudzony wilk o niezadowolonym pysku.

- Nie miałem pojęcia, że wilki umieją szczekać - dobrodusznie zauważył mag, skręcając z drogi w zarośla leszczyny.

- Nie umieją - odburknął Oroen kilka minut później, wyciągając z sakw na „zapasowym” koniu swoje ubranie. - Ale ludzie nie są psami, więc nie potrafią odróżnić prawdziwego szczekania od udawanego.

..I na nasze szczęście mało kto wie, że wampiry zmieniają się w wilki nie tylko po śmierci, ale i na życzenie" - pomyślał mag. Mimo groźnego wyglądu kły nie były najlepszą bronią, więc obrońcy dolin ruszali do walki wyłącznie w skrzydlatej postaci.

Po krótkiej dyskusji podróżni zdecydowali się skorzystać z wiejskich drózek,

gdzie można spokojnie ruszyć kłusem, ale nie wywoła się aż takiego podejrzenia u napotykaných podróżnych. W kierunku

Dogewy prawie nikt nie jechał, przeważnie głównym traktem do Bclorii wracali ostatni żołnierze, w jeszcze paskudniejszym i mniej przyjaznym nastroju niż zostawiony za miejską bramą motłoch,

Podróż mijąca w milczeniu, tylko czasami padały krótkie, rzeczowe hasła, jak: „Podaj flaszkę”. „Krótki postój”. „Gdzie lepiej skręcić na rozwidleniu?”.

Przecież nie bardzo szło dowiadywać się, kto i w jaki sposób uczestniczył w walce o Dogewę. z przesadną zadziornością pytać o plany na przyszłość czy wyklócać, czyje kobiety są ładniejsze – żołnierze wdzierający się do pokojowych wsi, zwykle nie patrzyli ani na wygląd, ani na wiek.

Zresztą niemowlę nic pozwalało towarzyszącej się nudzić, gromko domagając się uwagi prawie co pół godziny i krążąc z siodła na siodło. Zatem o pełnym napięciu milczeniu też nie było mowy.

W ciągu jednego dnia bez szczególnych problemów udało im się pokonać prawie połowę drogi, zakończoną postojem na nocleg przy rzadkim brzożowym lasku. Zdecydowali, że będą pilnować po kolei: wampir do godziny po północy, a mag do świtu. Po chwili namysłu Kssndcr zrezygnował z wykorzystania magicznego konturu - nie wątpił, że był poszukiwany, może i niejawnie, ale to niewiele zmieniało. Tak więc ściąganie na siebie uwagi kolegów przy użyciu gwałtownego rozbłysku magii nie było wskazane.

Dziecko chyba nie zamierzało spać w ogóle. Leżąc w koszu, darło się tak, że w lasku nie cichło echo, na rękach u Oroena - trochę ciszej i z minutowymi przerwami. Upilnowanie czegokolwiek w tej sytuacji było niemożliwe, a po paru godzinach takiego „odpoczynku” mężczyznom było już równo obojętne, czy ktoś ich zaatakuje. W każdym razie zwykle środki ostrożności, takie jak cisza czy bezdymny płomień, odpadły same z siebie. Ksander poważnie zastanawiał się nad rozdzielaniem wśród podległych mu magów zasłużonych nagród i wręczeniem Katissic orderu za męstwo (nie precyzując, jakie konkretnie).

Wampir cichym i łagodnym ciosem, w ramach kołysanki, ze szczegółami opowiadał niemowlakowi, co konkretnie myśli o jego kompletnie niegodnym Władcy zachowaniu...

Koniec końców mag zasnął ciężkim, nierównym snem. Obudził się w grobowej ciszy. Z niesamowitym trudem udało mu się otworzyć oczy. po czym zobaczył wampira, który siedział obok w milczeniu i wbijał w niego dziwnie nieprzyjemne, oceniające spojrzenie.

- O co chodzi?

- Tak sobie myślę - powoli odparł Oroen - że może powinienem cię zagryźć, zakopać i ruszyć dalej sam. Do Dogewy została mniej niż setka wiorst, jakoś

sobie poradzę...

Jak już się zdecydujesz, to mnie obudź - mruknął Ksander, próbując przekręcić się na drugi bok. ale wampir ze śmiechem potrząsnął go za ramię.

- No nie, skoro się obudziłeś, to wstawaj! Twoja kolej pilnować, właśnie miałem cię szturchnąć.

Mag z westchnieniem odrzucił kołdrę i usiadł, czując się głupio jak rzadko kiedy. Zresztą, gdyby potrafił czytać w cudzych emocjach jak w otwartej księdze, też nie przepuściłby szansy zażartowania z rozmówcy, który może nic po sobie nie pokazał, ale nieco się przestraszył.

Gdy tylko ustąpił wampirowi wygrzane legowisko, rozprostował nogi w trakcie niewielkiego obchodu i dorzucił parę polan do ognisko, niemowlę zdecydowało, że starczy tego dobrego i znowu wybuchło głośnym płaczem.

- I skąd w tobie tyle siły? - z rezygnacją spytał mag, biorąc je na ręce. Mały na chwilę zamilkł, nieufnie przyglądając się człowiekowi, a potem dobitnie zademonstrował, że koncert dany przed chwilą bynajmniej nie był szczytem jego możliwości wokalnych.

- Po co go drażnisz? - nie wytrzymał Oroen. który bezskutecznie próbował skorzystać z posłania.

- Ja? - oburzył się Ksander. czyniąc niepewną próbę ukołysania ciągle wydzierającego się zawiniątka.

Niestety, udało mu się doprowadzić tylko do tego, że ryk stał się urywany i działał nu nerwy jeszcze bardziej. - Sam byś spróbował go uspokoić!

- Próbowałem: Trzy godziny pod rząd! - Wampir uznał, że nie podejmie próby powtórzenia tego bohaterskiego czynu i małostkowo nakrył się kołdrą aż po czubek głowy.

Wynik był cokolwiek nieoczekiwany: wrzaski bez najmniejszych przeszkód przenikały przez grubą tkaninę. ale za to mag nie miał szansy zrozumieć mamrotania otulonego towarzysza. Tym bardziej, że chyba już zdążył ogłuchnąć na prawe ucho, które znajdowało się nieco bliżej źródła dźwięku. Tęsknie spojrzął na posłanie, na którym miał ochotę podrzemać w pół oka w oczekiwaniu świtu, i nie wytrzymał:

- Tak w zasadzie to nadzieja twojej doliny, tak więc wstań i spróbuj ją uspokoić!

- Ale twoja kolej, by pilnować! - odpłacił mu wampir. Mag westchnął, bez większej nadziei potrząsnął zawiniątkiem i już poważnie dodał:

- Jeśli on nie przestanie się wydzierać, za pół godziny będziemy tu mieli wszystkie okoliczne potwory.

Płacz niemowlaka działa na nie jak magnes, żaden stwór nie odmówi takiego poczęstunku

Po takim stwierdzeniu Oroen, mimo że cokolwiek niechętnie, musiał jednak porzucić swoje wątpliwe ukrycie i przyłączyć się do towarzysza niedoli. Dziecko zareagowało na to kilkoma dodatkowymi decybelami, żeby żadna z nianiek nie poczuła się przypadkiem zignorowana.

- Za mojej zmiany tak nie krzyczał - w głosie Oroena brzmiał niepokój. - Może trzeba mu zmienić szmatę?

- Sprawdzalem, wszystko jest w porządku - z irytacją odparł Ksander. - Jeść również nie chce. Z braku innych opcji próbowałem nawet go uspić zaklęciem.

- Na jasnowłosych magia nie działa. Instynktownie ją odbijają.

- No co ty nie powiesz? - mag prawie że pluł jadem. - Za nic bym nie wpadł!

- A na mnie czemu się wściekasz? - obraził się wampir.

Przecież nie na niego. - Uwaga była słuszna. - Jakie jeszcze problemy może mieć wasze niemowlę?

- Takie same jak wasze. - Oroen wzruszył ramionami. - Czegoś się przestraszył, brzuch go boli.

-Brzuch? Przecież wy do dwustu lat w ogóle nie chorujecie!

- Ale to przecież nie choroba. Zwykła niemowlęca kolka, może mleko było zbyt tłuste albo kwaśne.

Albo za dużo wypił.

-I co mamy z tym teraz zrobić? - zadane pomiędzy dwoma kolejnymi wrzaskami pytanie zabrzmiało cokolwiek desperacko.

- Nic. Tu trzeba zielarki - westchnął wampir.

- Jak sobie z nim wcześniej radziłeś?

- Przez pierwszy miesiąc w ogóle nie było go słychać - w głosie maga można było wyczuć tęsknotę. -

Potem zajmowali się nim moi pomocnicy, ja tylko wpadałem od czasu do czasu. A ty masz dzieci?

Oroen przecząco pokręcił głową. Ta ukochana i jedyna, z którą chciałby je mieć, wyszła za mąż za innego i już dawno się z tym pogodził... Co prawda w tej konkretnej chwili nie wydawało mu się to aż tak wielką stratą.

- Mam wrażenie, że ciebie nie ma co pytać?

- Mogę odpowiedzieć. I nigdy nie będę miał!

Mężczyźni tęsknie spojrzeli po sobie i w przypływie nieoczekiwanej sympatii pomyśleli, że przepaść pomiędzy wampirami a ludźmi wcale nie jest aż tak głęboka, skoro mostkiem przez nią może zostać zwykły koszyk z niemowlęciem.

Jeszcze nie przyjaciele, ale już nie wrogowie z trudem wytrzymali do świtu i ponownie wspięli się na siodła. Gdy tylko konie ruszyły z miejsca, krzyk przeszedł w płacz, potem | w rzadkie chlipnięcia, a w końcu w wytęsknioną



ciszę, której ani mag, ani wampir nie naruszyli nawet szeptem, komunikując się ze sobą wyrazistymi znakami.

Po kilku godzinach słońce uniosło się. Zrobiło się gorąco. Nad wypalonym, dopiero co zarastającym młodą trawą polem i zabrzmiały trele skowronków. Kobyła Ksandra nadepnęła na kawałek kolczugi, zaplątała się i z przestrachem uciekła na bok, wlokąc za kopytem dzwoniącą koronkę. Mag spiesznie ściągnął wodze, zeskoczył i odczepił od poluzowanej podkowy przeszkadzające kółko. Przeczytał krótkie zaklęcie, żeby całkiem nie odpadła na samym środku drogi, stając się znaleziskiem na szczęście dla kolejnych podróżnych, po czym wsłuchał się z obawą. Nadal było cicho. Jak również po dziesięciu minutach, po godzinie, po dwóch. Oroen nie wytrzymał jako pierwszy.

- Słuchaj, a może on już chce jeść? Ale w nocy tak zdarł gardło, że teraz nie może nawet pisnąć.

Mag zwrócił w jego kierunku wychudzoną twarz z czerwonymi z niedospania oczyma. W nocy nie pojawił się żaden potwór - pewnie bał się, że doprowadzeni do ostateczności podróżni zaprzęgą go do niewdzięcznego zadania lulania niedoszłego obiadu. Lecz Ksander wolałby radzić sobie z dziesiątką strzyg niż z jednym wydzierającym się dzieciakiem!

- Jeżeli będzie czegoś chciał - powiedział gniewnie - dowiemy się o tym natychmiast!

Wampir nie śmiał nalegać. Sam dopiero co przysnął w siodle, tak że kolejne pół godziny również upłynęło w ciszy, która niestety teraz już nie wydawała się aż tak błoga. Ksander z trudem powstrzymywał się od pokusy wypatroszenia obwiązanego szmatą kosza i sprawdzenia, czy mały drań

śpi sobie słodko, a nie umiera, czy (co za koszmar! i nie został przypadkiem zapomniany w miejscu postoju.

Koniec końców mag poddał się, przyhamował i ostrożnie zajrzał do środka.

Eksperymentu tego więcej nie powtórzono. W odróżnieniu od dorosłych, niemowlę zdążyło doskonale wypocząć i się wyspać, tak że przez następne cztery godziny spokojnie przekroczyło dzienną normę krzyków.

- Dlaczego mnie w nocy nie zagryzłeś?!

- Co za szczęście, że tego nie zrobiłem! - W tej chwili kosz znajdował się w siodle maga, a jego kobyła bynajmniej nie była tym zachwycona (poprzednio wampir przez jakąś godzinę czekał na Ksandra koło wsi, do której ten poszedł po mleko, po czym nieopatrznie wrócił i już nie mógł unikać honorowego ciężaru).

W chwili zapadnięcia zmroku do Dogewy zostało tylko kilka wiorst, ale towarzysze nie chcieli po nocy przeprowiać się przez leżący przed nimi las. Tym bardziej, że nawet wampir nie mógł zagwarantować, że jego współplemieńcy

przywitają nieoczekiwanych nocnych gości z otwartymi ramionami. Z otwartymi szczękami było znacznie bardziej prawdopodobne, tak że rano wydawał się znacznie lepszą porą na pierwszy... no niech będzie, że nie przyjacielski, ale chociażby neutralny kontakt.

Tym razem pierwszy dyżur trafił się magowi. Oroen pokręcił się przez jakieś pół godziny, wykrzywił, ale jednak usnął. Dla odmiany niemowlę również. Na wszelki wypadek nie wypuszczając go z rąk, Ksander powoli zaczął odpływać.

I parę godzin później za to zapłacił. Inkasenci wyglądali jak oddział byłych legionistów, w dzisiejszych czasach stanowiący bandę maruderów z naładowanymi kuszami. Gdy Ksander uniósł głowę, a strażnik nawet w głębokim wampirzym śnie poczuł obecność obcych, poruszył się niespokojnie i otworzył oczy, rozbójnicy już otoczyli obozowisko, stwierdzili, że nie napotkają poważnego oporu i zdecydowanie

nabrali animuszu.

- No i tak. - Herszt pewnym krokiem podszedł do ogniska i zajrzał do kociołka. - Siedzą sobie, kochasie. Grzeją w ciepłku. I patrzcie, już nawet nam obiad zrobili... A ty, chłopie, siedź, siedź, nie martw się, sami się obsłużymy!

Maruderzy wybuchli rechem, niezgodnym, ale przez to nie mniej paskudnym.

- A co my tu mamy. Nie mówcie, że strzygę? - Rozbójnik czubkiem miecza zmusił wściekle wyszczerzonego Oroena do podniesienia głowy. - Nie no, chłopaki, dziś to dopiero mamy szczęście! Za te kły dostaniemy od znachora garść monet, do tego akurat mi braknie jednego futra na kurtkę...

- Wojna się skończyła - zimno powiedział mag, przyciskając do siebie niemowlę, które znowu dało znać o sobie. -I w razie czego będziecie sądzeni zgodnie z regularnym prawem, jako rozbójnicy i mordercy.

- Co tam gadasz? - Herszt z szyderczym uśmiechem przystawił dłoń do ucha. - Co się temu wypierdkowi skończyło? Nic nie słyszałem! Ale powiem ci, że las dookoła głuchy, królewscy heroldzi z wieściami się zawsze spóźniają, a my ludzie mali... Kazali nam niszczyć potwory, to służymy ojczyźnie, co nie, chłopcy?!

Banda odezwała się zgodnym pomrukiem i przysunęła jeszcze bliżej. Dwójka, bynajmniej nie krępując się obecnością właściciela, grzebała w sakwach przy siodle, wyrzucając przedmioty z ich punktu widzenia niepotrzebne.

- A nie moglibyście przypadkiem zabrać pieniędzy oraz koni i się stąd zwinąć? - zaproponował Ksander. Czuł się paskudnie, poniżając się w ten sposób przed tymi ludzkimi śmieciami, ale wycelowane ze wszystkich stron kusze oraz ręce zajęte niemowlakiem niwelowały wszelkie zdolności magiczne.

- My jesteśmy mili ludzie... podróżni i nie będziemy wam czynić wstrętów.

- Oj nie, kochany. - Przywódca bandytów pokręcił głową z pretensją. - Coś mi się widzi, że ty tu próbujesz nas, biednych, oszukać. Myślisz, że nie widzę, żeś czarownik? I że się nie rzucasz tylko, póki cię mamy na celowniku? A jak będziemy głupi, weźmiemy pieniądze i odwrócimy się plecami, to zaraz dostaniemy w nie jakimś piorunem. Nic z tego... i trzeba cię, biednego, będzie załatwić razem ze strzygą...

Ksander ani na chwilę nie zwątpił w powagę ich grózb. Maruderzy faktycznie nie potrzebowali świadków - mógł założyć się, że za jakiś tydzień czy dwa, gdy owocne dni powojennego bałaganu się skończą, planowali wrócić do domów jako bohaterowie. No bo przecież nie powiedzą żonom i dzieciom, że przywiezione złoto nie zostało zdobyte w walce w obozowisku wroga, tylko zdjęte z trupów jak najbardziej pokojowych... a na dokładkę w większości ludzkich.

- Twarz maga wykrzywiła się z przerażenia, spróbował coś wybełkotać, ale zamiast tego zbladł, wywrócił oczy i padł na plecy, wypuszczając dziecko - i to tak pechowo, że wypadło ono z kosza na ziemię. Gdyby na miejscu Oroena znajdowała się kochająca mamusia niemowlaka, to sama by zemdląła albo nie bacząc na kusze - rzuciła się sprawdzać, czy z ukochanymi dzieciątkiem wszystko w porządku, po czym rozbójnicy bez chwili wahania naszpikowaliby całą trójkę strzałami. Jednakże - dokładnie, jak Ksander planował - po drugiej stronie ogniska siedział może i oddany, ale wściekły, niewyspany i z racji tego wyjątkowo wkurzony wampir, który bez namysłu runął na najbliższego rozbójnika, który zupełnym przypadkiem okazał się hersztem. Ten zdążył zwolnić cięciwę, ale Oroena to nie powstrzymało - złapał człowieka za kark, a następnie jednym ruchem odwrócił plecami do jego kumpli, którzy też spieszenie rozładowali kusze. Herszt nie zdążył nawet pisnąć, tylko wygiął się w łuk i zachrypiał, trafiony przez trzy bełty równocześnie.

Nikt nie wpadł natomiast na to, by dla pewności strzelić w nieprzytomnego maga. co również było błędem. Ksander obawiał się, że trafi wampira, więc ograniczył się do zwykłej fali mocy, która uderzyła pod kolana i wybiła z rąk broń. Następnie przygotował się do machania mieczem, ale pozbawieni przywództwa rozbójnicy nie podjęli walki i pierzchli na wszystkie strony.

- Ścierwo - splunął mag, chowając miecz i pochylając się po dziecko. Sądząc z intonacji, o ile można zastosować to słowo do wibrującego trełu, i z wyrazu wykrzywionej płaczem twarzyczki, mały nie tyle nawet się przestraszył, co oburzył, i był przygotowany, by długo i okrutnie mścić się za tak bezczelne potraktowanie.

Oroen po chwili wahania zwolnił ręce i martwe ciało upadło do jego stóp jak

worek. Skrzywił się, wymacał sterczący z boku bełt, wyciągnął go i wrzucił do ogniska.

- No to teraz sam go uspokajaj - powiedział do pechowego wartownika, po czym wrócił na leże i całkiem schował się pod derką.

Ksander zaczął poważnie rozważać prawdziwe omdlenie.

Las spalił się wcale niedawno - z góry nadal padały czarne strzępki liści, gorzkie, siwe powietrze drapało w gardle. Ocalały tylko najwyższe i zielone drzewa - te suche zajęły się aż po czubki i teraz leżały na ziemi w postaci dogorywających kłód, a po młodych zostały tylko zwęglone pręty.

Oroen rzucił na maga szybkie spojrzenie, które nawet nic takiego nie wyrażało, ale Ksander ze wstydem przygryzł wargę i wbił wzrok w ziemię. Może przyczyną pożaru nie były wcale pulsary czy inne ogniowe zaklęcia, bo nie używano ich w lesie, a magowie już miesiąc wcześniej odmówili udziału w wojnie, ale to niewiele zmieniało. Ludzie doskonale poradzili sobie przy użyciu katapult z oblanymi

smołą i podpalonymi pociskami.

Tak, jestem magiem. I jako pierwszy wystąpiłem na Radzie z gniewną i płomienną mową, która przekonała międzyrasowy Konwent magów, upierający się dotąd przy pozostawaniu z dala od polityki, by przerwał wojnę, opowiadając się w tym celu po stronie wampirów.

Lecz jestem też człowiekiem. I nadal czuję się winny tego, że nie zadziałałem wcześniej... że pozwoliłem, by ta wojna w ogóle się rozpoczęła...

- Orroen?! T-ta irra, kasshen!

- Trenn, ińsal - chętnie odparł zapytany i machnął niewidzialnemu strażnikowi na powitanie. - Thailietla, na ren, weris Lan Kielanna!

- Klea, dsai w'est!

Zza krzaków nikt się nie pokazał, ale wampir wyraźnie się ożywił:

- Poinformuje Radę o naszym przybyciu i zadba, żebyśmy bez przeszkód dotarli do miasta.

- Doskonale. - Mag odetchnął z ulgą i w końcu pozwolił sobie na rozprostowanie ramion. Nie to, żeby nie rozumiał, że strzała naprawdę nie widzi różnicy, w jakie plecy ma trafić - proste czy zgarbione.

Jeszcze nieraz trafili na drodze na ruiny domów i wypalone kawałki lasu, ale były również skrupulatnie oczyszczone polanki i świeże, dopiero co postawione ściany z belkami pod przyszłe dachy. Dolina powoli się odbudowywała. A teraz, wraz z powrotem Władcy, miała zyskać prawdziwą nadzieję na odrodzenie.

Serca miasta wojna prawie nie ruszyła. Przy efektownej fontannie, na środku placu, stała zgrabna, może nawet chuda kobieta w czarnym obcisłym stroju. Złożyła ręce na piersi i bez najmniejszego entuzjazmu patrzyła na zbliżającego

się maga. Lekki wiaterek czochrął krótkie, nierówno ostrzyżone włosy - ni to spalone, ni to spiesznie obcięte nożem, by nie przeszkadzały w walce.

Ksander spojrzał jej w oczy i zadrżał. Czarne, przenikliwe, głęboko zapadnięte ze zmęczenia i tak samo starej nienawiści... i kompletnie martwe. Mag pomyślał, że gdyby Dogewę czekała jednak decydująca, w ostatniej chwili odwołana bitwa, to ta kobieta bez namysłu ruszyłaby na wroga nawet z gołymi rękami, by bez najmniejszej litości zemścić się za tych, których utraciła.

Nie było przy niej żadnej ochrony, ale wszystkie przechodzące przez plac wampirzyce (Ksander nie zauważył ani jednego mężczyzny, prawdopodobnie wszyscy zajęci byli odbudową, a i tak niewielu ich zostało) na wszelki wypadek zatrzymały się i ostrożnie patrzyły na człowieka, gotowe w razie czego natychmiast ruszyć zielarce z pomocą.

A dziecko wybrało wręcz idealną chwilę, by poinformować Świat, że jednak za nim nie przepada.

To była ostatnia kropla. Czy raczej przenikliwy wrzask, który na wskroś przewiercił głowę.

Wymęczony, ledwo trzymający się na nogach mag, który przez kilka dni przygotowywał przemówienie dyplomatyczne, nieoczekiwanie zrozumiał, że jest mu równo obojętne, co mogła pomyśleć o nim

Najwyższa Dogewska Zielarka, która nieoficjalnie stała na czele Rady Doliny. Niechby go nawet zagryzła na miejscu, w końcu zyska okazję, by poleżeć w ciszy i spokoju!

I bez żadnych ceremonii zrobił krok do przodu, w milczeniu wyciągając do niej kosz.



Zielarka skrzywiła się ze wstrętem i, zdziwiona, spojrzała na piszczący pakunek... Po czym nagle wytrzeszczyła oczy i ze zwierzęcym rykiem rzuciła się w kierunku maga, wyrywając mu niemowlaka.

Zaskoczony Ksander zachwiał się i Oroen ledwo zdążył przytrzymać go za łokieć. Tymczasem wampirzyca wypatroszyła pieluchy, przekonała się, że to nie był tylko wytwór jej wyobraźni, wyniosła piszczące dziecko do góry i urywającym się głosem krzyknęła kilka słów w alladarze. Okrzyki zdziwienia błyskawicznie zmieniły się w wyrazy radości, kobiety obstały zielarkę pierścieniem, gadając jedna przez drugą i próbując dotknąć chociażby pieluchy.

O mężczyznach zapomniały. Zupełnie. Procesja, gaworząca i szwargocząca z zachwytem (ze środka dolatywały protestujące wrzaski niemowlaka, który nieco poniewczasie zrozumiał, w co się wpakował), przecięła polanę i zniknęła w Domu Narad, pozostawiając bohaterów w dumnej samotności.

- Może piwko? - nieoczekiwanie zaproponował Oroen, wskazując znajdujący się niedaleko odpowiedni przybytek.

Ksander, nadal jeszcze nie wierząc w wybawienie od źródła ich wspólnej męki, popatrzył na swoje puste ręce, a następnie wzniosł oczy ku niebu i z głębi serca odprawił modły dziękczynne do wszystkich bogów hurtem, mimo że do dnia dzisiejszego miał wątpliwości odnośnie do istnienia chociażby jednego z nich.

- O tak, to jest dobry powód do świętowania!

Wampir i człowiek, opierając się o siebie nawzajem, resztkami sił ruszyli w kierunku gospody.

Ale to już zupełnie inna historia.

*Przełożyła **Marina Makarewska***